Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT ● NR 36 (1824) ● 5–11 września 2025

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 45ce44f7a0

WOJNA DOMOWA

Do Ameryki udali się: Karol Nawrocki do Waszyngtonu, Radosław Sikorski na Florydę, Lech Wałęsa do roboty. Niektórzy sugerowali, że Sikorski wyleciał do USA akurat wtedy, kiedy Nawrocki, w cichej nadziei, że prezydent go jednak doprosi do randki z Trumpem – ale nic z tego. Radek musiał się więc kontentować spotkaniem z sekretarzem stanu Marco Rubio i wręczeniem Nagrody Solidarności imienia Lecha Wałęsy koleżance żony jednego kubańskiego dysydenta – co mogło mieć niejaki związek z faktem, że rodzice Rubio są z Kuby, więc była nadzieja, że nastroi go do Sikorskiego życzliwie, jak sobie wspólnie popsioczą na komunizm. Sam patron nagrody, mimo że już był w USA, na wręczeniu się nie pojawił i wcale nie dlatego, że nie chciał przyćmić gwiazdy Radka. Ojciec Solidarności jest zajęty: ma w planach 28 płatnych występów, zwanych krotochwilnie „wykładami", albowiem za prezydencką emeryturę – 11 tys. na rękę – „nie da się żyć".

Odbyły się obchody 45. rocznicy porozumień sierpniowych. Obchodzono po dwóch stronach barierki. W sali BHP bawił prezydent Nawrocki i dwóch Dudów, a z uczestników sierpnia – Gwiazdowie i nieszczęsny Wyszkowski, o którym nikt nie słyszał, zanim nie oskarżył Wałęsy o bycie Bolkiem. Po drugiej stronie, pod bramą nr 2, byli Borusewicz, Lis, Krzywonos i Wałęsowa, a także – nie wiadomo czemu – nowa ministra kultury, której nazwisko nikomu nic nie powie. Sala BHP nastawiona było konfrontacyjnie: „W tej historii jest też przewodniczący Solidarności Lech Wałęsa, o którym zapominać nie możemy, bo poddalibyśmy się historycznej amnezji, ale nikt nie zabroni nam opisywać rzetelnie i mówić o tym, kim był Lech Wałęsa" – ogłosił były prezes IPN czasowo zatrudniony na stanowisku prezydenta RP. Towarzystwo spod bramy ubolewało nad podziałami i wzywało do tego, żeby następną rocznicę świętować razem. I to jest oczywiście bardzo słuszna koncepcja, ale może ktoś by obu plemionom solidaruchów przypomniał, że w sierpniu 1981 r. Wałęsa nie podpisał porozumienia z braćmi Kaczyńskimi, tylko z wicepremierem rządu PRL, dr. Mieczysławem Jagielskim – i był to wspólny sukces MKS i PZPR. Czy też w tej akurat kwestii historyczna amnezja jest ok?

Tego samego dnia premier Tusk podejmował przewodniczącą von der Leyen pod zaporą na granicy białoruskiej. „Wybrałem to miejsce, żeby pokazać, na czym polega dzisiaj współczesna solidarność" – tokował premier, z dumą prezentując płot, pod którym z głodu, zimna i wycieńczenia zmarło co najmniej 130 osób, uciekających z różnych zakątków świata przed wojną i nędzą. Przy okazji: jeśli kiedyś darliśmy łacha z posła Sterczewskiego, który galopował po białowieskiej łące z torbą z Ikei, w nieskutecznej próbie dostarczenia żywności i leków uwięzionym na ziemi niczyjej uchodźcom: odszczekujemy i przepraszamy. Sterczewski jest jedynym polskim politykiem, który bierze udział w Global Sumud Flotilla – międzynarodowej inicjatywie na rzecz przełamania blokady humanitarnej Gazy drogą morską. Szacun – tym bardziej, kiedy przypomnimy sobie, że w 2010 r. izraelska armia zamordowała 9 uczestników podobnej flotylli.

Źródła szacunu bywają różne. Donald Tusk na przykład wyraził szacun dla Ursuli – i przy okazji siebie – pod białowieskim płotem: „Może państwo nie zauważyli, ale gdy tutaj zmierzaliśmy z panią przewodniczącą w to miejsce, otrzymaliśmy informację i rekomendacje od ochrony, aby jednak zrezygnować z konferencji albo przesunąć miejsce konferencji, bo pojawili się tam białoruscy żołnierze z długą bronią. No i pytam panią przewodniczącą, co ona na to, czy jest gotowa jednak uczestniczyć tutaj w tej konferencji w tym miejscu. No i usłyszałam te słowa, jakie chciałem usłyszeć, dla nas tu w Polsce oczywiste: zero ustępstw. Nikt nas tutaj nie będzie straszył ani niepokoił, jesteśmy tu po to także, żeby pokazać tę wspólną europejską determinację. Dziękuję także za ten gest, on wcale nie jest taki częsty"… Obecność po białoruskiej stronie granicy białoruskich żołnierzy z długą bronią była naturalnie bezczelną prowokacją; wszak ochrona Tuska i von der Leyen, i generalnie polscy żołnierze oraz pogranicznicy uzbrojeni są w białe róże – znak przyjaźni.

Uwaga, skupcie się, bo to będzie skomplikowane: generał Jerzy Jankowski, protegowany Zenona Kosiniaka-Kamysza, który jest stryjem wicepremiera Kosiniaka-Kamysza oraz byłym wiceministrem obrony, a obecnie ambasadorem RP w Austrii, dostał od wiceministra Pawła Bejdy, który jest zastępcą wicepremiera Kosiniaka-Kamysza, czołg. Prawdziwy, duży, ruski czołg T-72. Ale nie dla siebie, tylko dla rodzinnego Czchowa, gdzie czołg stanowi lokalną atrakcję i tło niezliczonych selfie. Wojsko wyceniło wartość darowizny na 46 tys. zł, choć ponoć mogłoby go sprzedać za pół bańki, po czym jeszcze zatachało czołg do Czchowa i ustawiło na postumencie, co kosztowało 42 tys., ale nie szkodzi, bo odbyło się w ramach ćwiczeń. Ppłk Kazimierz Trela, aktualny szef założonego przez gen. Jankowskiego lokalnego stowarzyszenia, które jest nowym właścicielem T-72, tłumaczy, że w przeciwnym razie czołg zostałby „rozstrzelany". My w tygodniku „NIE" jesteśmy kategorycznie przeciw rozstrzeliwaniu sojuszniczych czołgów – ale trudno ukryć, że T-72 jest nie dość, że ruski, to jeszcze komunistyczny, i do tego kupiony za czasów Jaruzelskiego. Z punktu widzenia obecnej władzy absolutnie zasługuje na rozstrzelanie.

Na targach broni w Kielcach doktor medycyny na etacie ministra obrony narodowej wykazał się biegłą znajomością problemów rolnictwa. Znienacka zapytany o rządowy program dla producentów rolnych Kosiniak-Kamysz odpowiedział śpiewająco. „Nie porównujmy dwóch hektarów papryki do dwóch hektarów zboża, bo to są zupełnie różne pojęcia. Dwa hektary papryki to jest wielkie gospodarstwo, a dwa hektary uprawy pszenicy, no, to niewiele" – wyjaśnił przewodniczący Polskiego Stronnictwa Ludowego. Jakże rolnicy muszą się cieszyć, że mają swojego człowieka na stanowisku wicepremiera rządu RP.

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH



Sierpień 2013 r.

Świętego Augustyna

Mój film na YouTube „Kibole, ja was chromolę" w ciągu weekendu uzyskał 421 tysięcy widzów, co jest rekordem. Palę na nim ogólnopolski szalik kibiców noszony na cześć reprezentacji narodowej i piłkę. Czy oglądają mnie kibice, żeby się nakręcić? Czy nastroje w kraju stały się antykibicowskie? Kibice odpowiadają „Urban do gazu", ale cyklonu B nie ma w wolnej sprzedaży. A ja nie chodzę tam, gdzie kibice wydalają swoje własne gazy.

Świętej Moniki

Gowin chodzi pokraśniały z zadowolenia. Widocznie nie wie, że zabierając Tuskowi 20 proc. poparcia w PO, już do powyborczego rządu wprowadził Leszka Millera i kolegów Leszka Millera. Mnie to cieszy, chociaż do szefa SLD mam tyle zaufania, co do Amber Gold. Zresztą żadnego rządu nie lubię. Lubię nierząd.

Świętej Róży

Poeta PiS Rymkiewicz chce dla Polski armii tak mocarnej, by za jednym zamachem pokonała i Niemcy, i Rosję. Tego rodzaju siłę zbrojną miały w całej historii kraju tylko polskie pramałpy dysponujące maczugami z trwalszego drewna niż sąsiedzkie małpiszony.

Świętego Barthelema

Morze Śródziemne stało się basenem nieszczęścia. Po europejskiej stronie – gospodarczego i społecznego. Po azjatycko-afrykańskiej – polityczno-militarnego. Daniszewska znalazła na tym morzu spokojną wyspę i wiezie mnie tam na urlop. Nie zdradzę, która to wyspa, bo zaraz pojadą tam rodacy. A to właśnie miejsce bez Polaków, wojny, kryzysu, komarów, zbiorowych wycieczek, straganów z pamiątkami, dużych hoteli, zaludnionych plaż, fast foodów, dyskotek. Nie ma tam także kradzieży, gdyż rządzi miejscowa mafia przyjazna turystom. Brakuje tylko małp huśtających się na palmach. Mam jeszcze pięć dni do urlopu. Wybieram się do kina i na pogrzeb.

Świętego Ludwika

Ostatnio niektórzy ekonomiści piszą to, co krzyczą związki zawodowe: podnieść płace. Zwiększy to popyt wewnętrzny, produkt globalny i przyczyni się do zmniejszenia dysproporcji w dochodach, co jest wszechstronnie dobrodziejcze. Inni ekonomiści replikują, że śrubowanie płac położy na łopatki nasz eksport, ograniczy przypływ kapitału zagranicznego, spowoduje wzrost cen i inflacji. Zapewne jedno i drugie jest prawdą i trzeba by policzyć, co się bardziej opłaca i do jakiego stopnia, żeby odpowiednio nakierować mechanizmy gospodarcze. Niestety, ekonomiści kłócą się, zamiast liczyć, bo nie chodzi im o gospodarkę, tylko o to, żeby ich było na wierzchu. Dlatego ekspertami powinni być rachmistrze bez poglądów, anonimowi. Najlepiej wynająć ich za granicą, tak jak u nas w Konstancinie najmuje się Ukraińców do budowy willi i pałaców. Przyjeżdżają oni bez rodzin wykonać konkretną robotę. Widocznie nie opłaca się to samo bezrobotnym z regionów Polski, gdzie nie ma pracy. Jeśli podaż niskopłatnej pracy nie aktywizuje bezrobotnych, to wzrost płac to uczyni. Przy wzroście płac bardziej opłacalna staje się jednak mechanizacja, cyfryzacja, robotyzacja sprzyjająca zwiększeniu bezrobocia. Zawsze źle, dupa blada. Zauważcie, że partie polityczne w ogóle nie dyskutują na płaszczyźnie coś za coś. A tubylca nie męczy przecież przed snem, czy Gowin zrobił się mocniejszy w PO niż Schetyna.

Świętej Nataszy

Punkt dziesiąta rano nasza suka Fela staje w kuchni przed tosterem i szczeka na znak, że gosposia powinna go włączyć. Gdy spóźniamy się na śniadanie, gosposia włącza toster bez pieczywa, żeby Fela zatkała mordę. Rytuał ten sugeruje Tuskowi i Rostowskiemu, jak postępować z Solidarnością Dudy.

Świętej Sabiny

Co tylko zdarzy się u kościelnych aparatczyków, nabiera niezwykłego znaczenia. Nadają mu go krytycy Kościoła, nie zauważając, że czynią w ten sposób z klechów elitę, nadludzi. Jeden jezuita pchnął w klasztorze drugiego, rozwalając mu łeb i obojczyk, ale niegroźnie. Cała Polska o tym mówi. Ten, co pchał, chlipie w ogólnopolskiej telewizji, że dzieckiem będąc, stykał się z proboszczem zainteresowanym dziecięcą seksualnością, więc delikatnie sugerował ministrantowi, żeby jej popróbować. Po kilkudziesięciu latach jezuita doznał na tym tle bojowego szoku i cała Polska wraz z nim beczy. A przecież 50-letni ksiądz jezuita miał czas zauważyć, że katolicyzm interesuje się głównie instrumentami rodnymi owieczek. Seks oraz jego skutki lub ich brak pasjonują kler bardziej niż zbawienie. Każdy przecież kapłan kat. wie, że reprezentuje wyznanie zainteresowane człowiekiem wyłącznie poniżej pępka. ❑

LISTONOSZ DONIÓSŁ

45 lat Sierpnia

Smutny to był widok. Tam, gdzie stało ZOMO, stali weterani pierwszej „Solidarności", oczywiście ci, co dożyli. Historyczną salę BHP zawłaszczyli uzurpatorzy: zajęli ją bez mrugnięcia okiem z właściwą sobie butą i bezczelnością. I kiedy to oglądałem, przestałem się dziwić, że Waldek Głąb, który w Gdańskiej Stoczni Remontowej zakładał „Solidarność", wypisał się z niej z hukiem i był jednym z najbardziej rozgoryczonych ludzi, jakich znałem. Jego praca, poświęcenie i to, co przeszedł, zdały się psu na budę. I nie dziwię się, że Józek Drogoń, z którym rozmowę zamieszczono swego czasu w „NIE" i z którym wtedy rozmawiałem, podsumował to słowami: „Kiedy wyjeżdżałem, rządzili czerwoni, kiedy wróciłem, rządzą czarni" (był jednym z tych, co dostali bilet w jedną stronę). Na pytanie, czy o to mu chodziło, odpowiedział machnięciem ręką.

Niestety, prawda jest taka, że „Solidarność" stała się kolejnym mitem narodowym skrzętnie zagospodarowywanym przez kolejnych Krzaklewskich, Śniadków i Dudów, ciągnących z tego niezłe profity. Na niższych poziomach tej niegdyś licznej i dumnej organizacji, obecnie sprowadzonej do roli pieska na smyczy PiS-u, nie jest lepiej, Guzikiewicz dowodem. We wspomnianej wyżej stoczni jeden z kierowników uzależniał podpisanie z pracownikiem stałej umowy o pracę od wstąpienia do NSZZ „S". Przestał, gdy szambo wybiło, choć zakończenia tej sprawy już dokładnie nie śledziłem.

Kiedy podpisywano Porozumienia Sierpniowe, działo się to w obecności kamer, jawnie, bez ograniczeń i bez używania nożyczek. Spotkanie towarzystwa wzajemnej adoracji w 45. rocznicę tego wydarzenia mogła pokazywać tylko jedna telewizja, a już TVN24 na przykład nie był godzien. A w postulatach była mowa m.in. o zniesieniu cenzury i dostępie do informacji... Taka to ta nowa „Solidarność". Signum temporis?

PS „Solidarność" to zdecydowanie nie moja bajka, ale szczerze żal mi tamtych ludzi, ich entuzjazmu i serca, które włożyli w swoją walkę. Jeszcze bardziej żal mi tych, którzy pokładali wielkie nadzieje w nowym związku. Co im zostało z tych lat?

Waldemar Miksa, Gdańsk

Tajemnica zakonnicy

W sierpniu media podawały, że zaginęła 57-letnia zakonnica Dorota Janiszewska z Kutna ze Zgromadzenia Sióstr Pasjonistek św. Pawła od Krzyża. Tak przy okazji, jakie oni mają fikuśne i odlotowe te nazwy zakonów czy kościołów „pod wezwaniem" – ale to inny temat i materiał na solidny artykuł prasowy, a wręcz na pracę magisterską.

Informację o jej zaginięciu i jej nazwisko opublikowała w mediach policja. Po 3 dniach zakonnica cudownie się odnalazła w Warszawie, ale „lżejsza" o... 400 tys. złotych.

Podobno tajemniczy mężczyzna kazał jej przelać te pieniądze na jakieś konta bankowe i kazał jej mieszkać w wyznaczonych hotelach.

Oby dziennikarze sprawdzili wersję zdarzeń, jaką podaje ta zakonnica, tym bardziej że prowadziła ona szkołę zakonną i najprawdopodobniej duża część pieniędzy pochodziła z dotacji publicznych. Ja w wersję dziwnych wypadków, jaką ona podaje, jakoś nie wierzę.

Czytelnik

Szanowni Państwo

uprzejmie informuję, że w numerze 35. z dnia 29 sierpnia 2025 r. w rubryce PRASA ŚNIADANIOWA wkradł się błąd. Użyliście Państwo określenia „furczak gołąbek", a powinno być „fruczak gołąbek". Jest to motyl z rodziny zawisakowatych, bywa, że mylony z kolibrem.

Z poważaniem

Jan Adam Łukasiewicz
Instruktor Ochrony Przyrody



Rysunki TOMASZ WIATER

eprasa.pl 45ce44f7a0



O igrzyskach i śmierci

Gladiatorzy przestworzy

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

W Polsce wypadki lotnicze – zwłaszcza wojskowe – od dawna mają własny szablon prasowy. Wystarczy wstawić nazwisko, stopień i typ maszyny, a reszta pisze się sama. Pilot zawsze jest „doświadczony", „oddany służbie", „kochający mąż i ojciec". Zawsze jest też „orłem, który odszedł za wcześnie" i zawsze „skrzydło złamane w locie". W tle obowiązkowe „Śmierć w służbie Ojczyzny", czyli zginął jak na Westerplatte.

Tragedia z 28 sierpnia stała się klasycznym przykładem: major Maciej „Slab" Krakowian – człowiek, który naprawdę był świetnym pilotem – nagle zostaje największą gwiazdą polskiego lotnictwa tylko dlatego, że rozbił się razem z samolotem wartym 340 mln zł.

Brutalnie mówiąc: gdyby żył, znałoby go kilkuset fanów awiacji i kilku spotterów z długimi obiektywami. Teraz? Cała Polska wie, że skończył Akademię Sił Powietrznych USA, odebrał dyplom z rąk Baracka Obamy, wylatał 1400 godzin i dostał nagrodę w Wielkiej Brytanii „za to, że potrafił latać".

Pilot, który wyglądał lepiej niż samolot

Dodatkowym paliwem narracji była fotogeniczność Krakowiana. Przystojny, uśmiechnięty, dobrze prezentujący się w kombinezonie. Wyglądał lepiej niż Tom Cruise. Gdyby Hollywood miał obsadzać kolejny sequel „Top Gun", to dziś pilot z Płocka trafiłby na plakat – tyle że już pośmiertnie.

Kolejna żelazna fraza: „Air Show miało być świętem, a stało się tragedią". No i oczywiście wjeżdża też kolejny standard – prokuratura. Z art. 173 kodeksu karnego śledztwo „w sprawie katastrofy w ruchu powietrznym". Miesiącami będą badać czarną skrzynkę, przesłuchiwać techników i analizować raporty pogodowe. Słońce grzało za mocno, powietrze było zbyt rzadkie, a może nawet będą macierewiczować: „dywersja personelu naziemnego".

Tańcząc ze śmiercią

To wszystko są jednak półprawdy wyjęte z szerszego kontekstu. Taki wypadek po prostu musiał się zdarzyć. To jest ryzyko biznesowe tego typu przedsięwzięć i wszyscy, którzy je organizują, doskonale o tym wiedzą. Statystyka jest nieubłagana.

Żeby nie być gołosłownym, w Polsce odnotowano już garnitur tragedii: 2011, Płock, Piknik Lotniczy, śmierć Marka Szufy na Christen Eagle II; 2019, Płock, Piknik Lotniczy, katastrofa Jak-52, zginął Ralf Buresch; 2007, Radom Air Show, zderzenie dwóch Zlinów Z-526, dwie ofiary; 2009, Radom Air Show, katastrofa białoruskiego Su-27, śmierć dwóch pilotów; 2024, Gdynia, trening przed pokazem, rozbił się M-346 Bielik, pilot nie przeżył.

Podobnie dzieje się na całym świecie. Ukraina, Lwów 2002: Su-27 roztrzaskał się w tłumie, 83 zabitych i ponad 500 rannych. Baza Ramstein: trzy MB-339 zderzyły się w powietrzu podczas Air Show NATO, 70 zabitych i około 400 rannych. USA, Reno: P-51 Mustang wypadł z trasy i runął w trybuny, 11 zabitych i ponad 60 rannych. Wielka Brytania, Shoreham 2015: Hawker Hunter spadł na drogę, zabijając 11 przypadkowych kierowców na autostradzie A27.

Prawdopodobieństwo utraty życia – tak przez uczestników, jak i widownię – jest w pokazach lotniczych niemal równie wysokie jak to, że kiedyś złapiesz gumę w samochodzie albo wykipi ci mleko na kuchence.

Lotnictwo dla mas

Ale czemu to wszystko właściwie służy?

Każdy Air Show to widowisko tanie – choć nie w wymiarze finansowym, lecz symbolicznym. Większość widzów nie ma żadnych realnych korzyści z tego, że żona pana Hołowni pilotuje F–16, tak samo jak nie miała z tego, że kiedyś biznesmen Niemczycki posiadał własnego Kukuruźnika. Dla przeciętnego obywatela to jedynie egzotyka. Obrazek z innego świata. A jednak te gigantyczne wydatki na sprzęt i wyszkolenie pilotów muszą być jakoś uzasadnione. Właśnie dlatego pojawia się potrzeba igrzysk, które mają nadać sens rozrzutności i zamienić ją w emocje dla tłumu. Pokazy lotnicze to nie trening bojowy, który podnosi zdolności obronne państwa. To nie lot sanitarny z nerką do przeszczepu. To nawet nie sport rekreacyjny.

To brutalny spektakl gladiatorów:

piloci muszą wykonywać najbardziej ekstremalne manewry, które w normalnej eksploatacji samolotu prawie nigdy się nie zdarzają. W realnym lotnictwie bojowym nikt nie robi beczki tuż nad pasem startowym tylko po to, żeby sąsiad z Radomia miał co wrzucić na Facebooka.

No i publiczność domaga się igrzysk. Trzeba pokazać coś efektownego, żeby widz zapłacił swoje 60, 70 czy nawet 80 zł za bilet. To jest biznes: Agencja Mienia Wojskowego (główny organizator z ramienia Ministerstwa Obrony) ma co dwa lata przychody z biletów i wynajmu stoisk handlowych rzędu 8–10 mln zł. Oczywiście bilans wychodzi na plus tylko pod warunkiem, że trupem padnie co najwyżej jakieś tańsze urządzenie latające, a nie bojowy odrzutowiec.

Ile kosztuje śmierć w przestworzach

Zatem praktycznie rzecz biorąc, mamy do czynienia z festiwalem głupoty. Straty materialne po katastrofie są tak duże, że nawet gdyby przez kolejne 114 lat wszystkie zyski z radomskiego Air Show odkładać na zakup nowego F-16 – i tak nie udałoby się go sfinansować. Rachunek ekonomiczny nie ma tu najmniejszego sensu.

Piloci, popisując się – czasem wręcz prowokowani do wykonywania ekstremalnie niebezpiecznych manewrów – tracą życie. Ryzyko dla widzów bywa jeszcze większe. A potem „śmierć w służbie Ojczyzny" ląduje na czołówkach portali.

Są już zapewne pomysły w politycznych głowach, aby tę powietrzną rosyjską ruletkę zlikwidować tak samo, jak w końcu zabroniono pożerania chrześcijan przez lwy u Sienkiewicza.

Ja jednak jestem przeciw likwidacji air showów, ale nie z powodów ekonomicznych czy propagandowych. W szerszym, ontologicznym sensie.

Anonimowy pilot a zbiorowa wyobraźnia

Życie, jakkolwiek byśmy je mierzyli, zawsze ma swoje granice: trzydzieści, dziewięćdziesiąt lat – to nie zmienia faktu, że kończy się nieuchronnym powrotem w nicość. A skoro tak, to trzeba zadać pytanie o jakość śmierci.

Czy można sobie wyobrazić lepszą dla super pilota, w pełni sił, w apogeum kariery, niż widowiskowe roztrzaskanie się w amerykańskim myśliwcu świata o beton pasa startowego – przy tysiącach widzów z otwartymi ustami, gdy nagrania natychmiast trafiają do sieci i biją rekordy oglądalności, a o sprawie pisze nawet „Indian Times" z Delhi?!

To jest przecież śmierć totalna: spektakularna, nagła, symboliczna. W ułamku sekundy anonimowy oficer stał się bohaterem zbiorowej wyobraźni, a jego nazwisko poznał każdy Polak mały.

Można dyskutować, czy to sensowne, można ironizować nad mechanizmami gloryfikacji, ale w świecie, w którym i tak wszystko kończy się pustką – to naprawdę nie była zła opcja.

ROBERT JARUGA

PS Pamięci mojego brata, Andrzeja P., pilota, który zginął dlatego, że pewien protetyk stomatologiczny zapragnął mocnych wrażeń i nowych form rozrywki, więc zapisał się na kurs pilotażu. Samolot Cessna 150 się rozbił. Drugi pilot, sprawca katastrofy, przeżył. Pochowano Andrzeja w białej trumnie, a nad grobem w chwili pogrzebu przeleciały dwa Zliny, kreśląc na niebie znak krzyża. Krew zamarzła mi w żyłach. Chcę wierzyć, że krótkie życie mojego brata i ta absurdalna śmierć miały jednak swój głębszy sens. Jego córka, półsierotka od drugiego roku życia, także została pilotem. A gdy pytam: „dlaczego?", odpowiada, że latanie jest jak życie na haju – i że dla tych doznań warto zaryzykować nawet życie.

Do dupy Naraki

Poklepany przez Trumpa

Po pieczołowitym obejrzeniu spotkania Karola Nawrockiego z Donaldem Trumpem odnalazłam w sobie zaskakującą emocję. Było mi otóż Nawrockiego nieco żal.

Wbrew obowiązującej w anypisie doktrynie nie uważam nowego prezydenta za bezmyślnego prymitywa. Sądzę, że pod tym względem głęboko różni się od poprzednika, który był całkiem szczęśliwy, kiedy mógł stanąć koło Przywódcy Wolnego Świata niczym 14-letni trampkarz z Przasnysza koło Roberta Lewandowskiego i jeszcze ktoś mu walnął focię. Podejrzewam – nie bez niepokoju – że Karol Nawrocki naprawdę chce rządzić Polską i gotów jest się o to napierdalać. A akurat z Trumpem napierdalać się nie może, musi łasić się jak jego poprzednik, nawet kiedy prezydent USA nazywa Xi Jinpinga „swoim przyjacielem", wyznaje, iż „myślał, że Ukraina i Rosja mają bardzo dobre relacje z prezydentem Putinem" (sic!) i chwali triumfalny spacer przywódców Chin, Rosji i Korei Północnej po placu Tiananmen jako „bardzo piękną ceremonię", która zrobiła na nim „bardzo, bardzo duże wrażenie".

Uważam – znów, wbrew anypisowskiej doktrynie – że rusofobia Karola Nawrockiego jest szczera, wcale nie mniejsza niż Donalda Tuska i reszty obecnej koalicji rządzącej. Po żadnej ze stron polskiego konfliktu politycznego nie dostrzegam gotowości do przyjęcia do wiadomości faktu, że wojna zmierza ku końcowi – którego nikt w Polsce nie uzna za „sprawiedliwy" – i już wkrótce trzeba będzie zacząć traktować Rosję jako normalnego gracza na scenie międzynarodowej. Dlatego wyobrażam sobie, ile musiał Nawrockiego kosztować przyklejony do twarzy uśmiech, kiedy Trump, de facto, zapowiadał taki rozwój sytuacji.

Co skądinąd jest o tyle bez znaczenia, iż cokolwiek zdemenciały Przywódca Wolnego Świata mówi różne rzeczy, których nie myśli, albo za chwilę nie pamięta, opisując świat, którego nie rozumie i który go zupełnie nie interesuje. Ludzie, którzy znają Trumpa od lat, odnotowują radykalną różnicę między bezwzględnym, głęboko niemoralnym, groteskowo próżnym (to wszystko w amerykańskim rozumieniu zalety), ale przy tym skutecznym biznesmenem sprzed paru dekad – i osiemdziesięciolatkiem wydającym z siebie bełkot, jak choćby ta fraza o dobrych stosunkach Rosji i Ukrainy z Putinem. Donald Trump nie jest w stanie wypowiedzieć jednego logicznego zdania, mającego początek, rozwinięcie i zakończenie. Nawet jego polityczni przeciwnicy z życzliwych demokratom mediów adiustują jego wypowiedzi tak, żeby Czytelnik był w stanie wyłowić z nich główną myśl. Słowa Trumpa spisywane wprost wyglądają jak zawartość naszej nieodżałowanej rubryki „Pan prezydęt powiedział" niosącej pod strzechy perły z ust Lecha Wałęsy.

Dlatego jest wręcz komiczne, że zapowiedzi Trumpa – jak ta o niewycofywaniu amerykańskiego kontyngentu z Polski – są u nas traktowane jako poważne deklaracje przywódcy mocarstwa.

Po tym, jak poklepując Nawrockiego po kolanie, Trump ogłosił, że bardzo się cieszy, że jest tu „president Naraki", i został przez polską głowę państwa pochwalony za to, że idealnie wymówił jego nazwisko – Donald był w szampańskim nastroju, więc obiecał, że nie zabierze Karolowi zabawek.

Obietnice niewycofania – a nawet dołożenia – wojska znaczą dokładnie tyle, ile opowieści o tym, że Kim Dzong Un to „zabawny facet", który ma „wspaniałą osobowość": to wyraz nastroju prezydenta USA, a nie zapowiedź jego polityki.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Tymczasem cała polska klasa polityczna doznaje orgazmu, a członkowie rządu Tuska żałośnie podstawiają nogę do kucia – jak wiceszef MON Paweł Zalewski, który natychmiast ogłosił w Polsacie, że my, z rządu, „uczestniczyliśmy w przygotowaniu tej wizyty pana prezydenta Nawrockiego i wspieraliśmy bardzo intensywnie tę wizytę od strony organizacyjnej, a także od strony merytorycznej, bo przecież dzieliliśmy się wszystkimi informacjami, które są niezbędne dla pana prezydenta"… W uniesieniu Zalewski ujawnił informację, która chyba nie była powszechnie znana: że obok nakładów na infrastrukturę amerykańskich baz płacimy 15 tys. dol. za każdego amerykańskiego wojaka, który zaszczyca nas swoją obecnością. To koło pół miliarda złotych rocznie.

Rzadko ulegam patriotycznym emocjom – ale kiedy słyszę, że moje państwo nie tylko pokornie błaga o obecność wojska obcego mocarstwa, ale także grubo za to płaci, jest mi nieco głupio.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

eprasa.pl 45ce44f7a0

Nieznajomi królika

Misiewiczom zmieniły się tylko nazwiska

Najbardziej rozczulające w polityce są te momenty, w których ktoś obiecuje: „żadnych stołków dla kolegów, koniec z nepotyzmem!” – i robi to z tak śmiertelnym przekonaniem, że aż dreszcz przebiega po krzyżu.

Maszynka do losowania

W kampanii wyborczej 2023 r. panująca nam dziś koalicja zapowiadała, że nie będzie powtórki z pisowskiego festiwalu znajomości i rodzinnych koneksji. „Zrobimy porządek z synekurami, konkursy będą jawne, kompetencje zwyciężą nad plecami” – słyszeliśmy. A chwilę potem Onet ujawnił, że wszystkich 17 dyrektorów regionalnych Totalizatora Sportowego pożegnano, by na ich miejsce wprowadzić nowych. Konkretnie zaś – starych znajomych. Adam Sekuła, kolega Donalda Tuska z boiska, objął Gdańsk. Bartosz Piech z PSL pokierował Lublinem. Michał Małecki z Trzeciej Drogi przejął Łódź. W Bydgoszczy ulokowano człowieka Lewicy. W Warszawie – byłego zastępcę dyrektora MSWiA. W Szczecinie – byłego szefa biura poselskiego ministra Nitrasa.

Ale prawdziwą ilustracją partyjnych koneksji był zarząd Totalizatora z Rafałem Krzemieniem na czele. Krzemień, zanim trafił na fotel prezesa, przez lata kręcił się w otoczeniu polityków Platformy Obywatelskiej. Zasiadał w radach nadzorczych spółek powiązanych z samorządami rządzonymi przez PO, a prywatnie utrzymywał relacje z ludźmi ze sztabu Donalda Tuska. Jego nominacja była efektem politycznych układanek, a nie rekrutacji. Wiceprezes Totalizatora Szymon Gawryszczak był wieloletnim współpracownikiem posła Roberta Kropiwnickiego, wiceszefa resortu aktywów państwowych, który nadzorował właśnie Totalizator.

Konkursy? A po co? Spółka nie publikowała ogłoszeń, nie przeprowadzała rekrutacji. Kto trafił do fotela dyrektora? Jakim cudem? Może losowano w maszynie Lotto? Gdy afera wybuchła, prezes Totalizatora Rafał Krzemień został odwołany, ale większość beneficjentów roszad pozostała. Bo przecież wybory prezydenckie tuż-tuż. Nawet zmiana na stanowisku prezesa na Beatę Stelmach nie oczyściła spółki z politycznych protegowanych. Z 34 nowych dyrektorów tylko dziewięcioro pochodziło z wewnętrznych awansów. Reszta – powiązana z obecnym układem władzy.

W Rzeszowie utrzymał się Sławomir Czwal, radny KO. W Zielonej Górze Bartłomiej Bogulski, trener pływania z koneksjami sięgającymi afery Arlegu i – znów – Roberta Kropiwnickiego. W Białymstoku dyrektorem został Hubert Ścisło z PO. W Koszalinie – Agata Sapieha, działaczka KO, wspierająca publicznie Bartosza Arłukowicza. Nawet nowi, „transparentnie” wyłonieni, to często ludzie z politycznym rodowodem.

Kto na miedzi siedzi?

W tym samym czasie media opisały sprawę ministra nauki Dariusza Wieczorka. W resorcie zmieniono regulamin uczelni, co dało jego żonie wymierne korzyści. Minister bronił się, że to tylko procedury. Tyle że procedura cuchnęła znajomościami. Gdy presja była zbyt duża, Wieczorek w styczniu wyleciał z rządu.

Potem na czołówki portali wysunęła się Natura Tour. Spółka kolejowa, należąca do PKP, nie ogłaszała żadnych konkursów, a kluczowe stanowiska objęli ludzie powiązani z PSL. Prezes Jolanta Sobczyk była znajomą ministra Dariusza Klimczaka. Rada nadzorcza też pełna ludzi z PSL.

Nowa władza odziedziczyła po PiS aparat, w którym wszystko da się załatwić. I z niego skorzystała. Dopóki na horyzoncie majaczył Pałac Prezydencki, trzymano resztkę fasonu.

Kiedy Wieczorek poleciał, koalicja biczowała się na wizji i wywieszała baner: „Reagujemy”. Gdy afera z Totalizatorem urosła do rozmiarów narodowego zakładu kolesiostwa, zarzekała się: „Nigdy więcej!”. Ale kiedy Trzaskowski poległ w boju o prezydenturę, a wyborczy kurz opadł – opadły też maski.



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Wtedy pojawiła się Anna Sobieraj-Kozakiewicz. Radczyni prawna z papierami z Warszawy, Strasburga i Florydy. Kobieta renesansu, która do niedawna zarządzała hotelarską spółką AMW Rewita. Firmą, co to administruje dawnymi wojskowymi ośrodkami wypoczynkowymi, teraz zamienionymi na komercyjne hotele. Podlega MON, czyli resortowi Kosiniaka-Kamysza. A tam w styczniu 2024 r. doradcą został Dariusz Sobieraj. Lekarz z Krosna. Znany działacz PSL. I ojciec Anny.

Kiedy pan Sobieraj nie dostał się do sejmu mimo kampanijnego wsparcia samego Kosiniaka, zrekompensowano mu rozczarowanie stanowiskiem doradcy. A jego córka latem 2024 r. została prezesem AMW Rewita. Rok później trafiła do zarządu KGHM jako wiceprezes ds. aktywów zagranicznych.

KGHM to jedna z największych spółek Skarbu Państwa, z przychodami rzędu 35 mld i zyskiem ponad 2,8 mld zł. Konkurs na to stanowisko dla córki Sobieraja ogłoszono 24 kwietnia. A wynik wydał się tuż po wyborach prezydenckich.

Gdy mleko się rozlało, rzecznik PSL grzmiał, że „każdy ma prawo startować w konkursie”, a opozycja pokazywała palcem: „stołki dla swoich”. Kiedy do drugiej tury wyborów jeszcze trzeba było grać fair, to reakcje były szybkie – dymisje, przeprosiny, oczyszczanie. Teraz już nie trzeba. Trzaskowski przegrał. Więc można. Więc się bierze.

Opadł kurz z masek

Nie tylko KGHM. Bierze się wszystko, co przez lata PiS brał i co miało być „zamknięte dla kolesiów”. Kolejny akt tego spektaklu rozegrał się w Krakowie. Pompa wojskowa, fanfary, ordery, kwiaty. Płk Piotr Bieniek, syn generała Mieczysława Bieńka, właśnie obejmował dowództwo 6. Brygady Powietrznodesantowej. Na uroczystości zjawił się sam minister obrony narodowej wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz z pełnym orszakiem. Nie pojechał wcześniej do żadnej innej brygady, ani nawet na uroczystości wyznaczania dowódców dywizji. Ale do Krakowa – owszem. Bo tam był Bieniek. Syn doradcy.

W wojsku zawrzało, szczególnie po ogłoszeniu nominacji generalskich. Obok Bieńka juniora wężyki dostał Mirosław Bodnar. Brat ministra sprawiedliwości Adama Bodnara.

W wojsku nikt specjalnie nie znał ich zasług. O Bodnarze mówiono, że o dronach – za które ma odpowiadać – wie tyle, co przeciętny piechur o kodowaniu satelitarnym. „To mądry chłopak, ale z dronami ma tyle wspólnego, co ja z baletem” – powiedział jeden z generałów. I był to jeden z łagodniejszych komentarzy.

Trzeci akt powyborczej układanki miał miejsce nie na poligonie, a w gabinetach finansowych. Mateusz Zawistowski – jeszcze niedawno narzeczony, dziś już mąż Kingi Dudy – objął kierownictwo MS Towarzystwa Funduszy Inwestycyjnych, podmiotu należącego do Polskiej Grupy Zbrojeniowej. A chwilę później – z zupełnie czystym przypadkiem – dostał w swoje ręce fundusz mający wspierać innowacje militarne. Polish Defence Fund. Świeży, przyszłościowy, intratny.

Minister obrony umywa ręce. Tłumaczy, że nic nie wiedział, nie rozmawiał z prezydentem, nie miał pojęcia, że zięć to zięć. Przypadek, los, zbieg okoliczności. „Nazwisko nie awansuje – awansują kompetencje” – mówi oficjalne stanowisko MON. W kuluarach już nikt w to nie wierzy.

I tu właśnie wraca Trzaskowski. Nie dlatego, że przegrał. Ale dlatego, że gdyby wygrał, może jeszcze przez chwilę trzeba by było się pilnować. Może przez parę miesięcy obowiązywałaby choćby pozorna wstrzemięźliwość. A tak? Hulaj dusza, piekła nie ma i czasu na obsadzanie coraz mniej. Trzeba robić dobrze. Sobie. Swoim. Zięciom, braciom, synom, kolegom i kolegom kolegów. Bo kiedy nie trzeba już udawać, że się służy Polakom, można w końcu służyć królikowi. Takiemu, co to załatwi miejsce, bo wie, komu trzeba powiedzieć: „Mój zięć jest zdolny”. Albo: „Brat od lat w służbie”. Albo po prostu: „Daj mu to stanowisko, bo wypada”.

TADEUSZ JASIŃSKI

MÓŻDŻEK TYGODNIA



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Tego nie przeczytacie w kabotyńskiej książce Andrzeja Dudy „To ja”.

Oto trzej jego bliscy współpracownicy i sztabowcy. Pierwszy, Marcin Kędryna, wspomina o drugim, Marcinie Mastalerku: „O tym, że Mastalerka stać na agresywne zachowania, wiem (…) z autopsji. W 2019 r., na górnym korytarzu prawego skrzydła pałacu prezydenckiego, wyskoczył do mnie z rękami i zaczął – używając wyrazów powszechnie uważanych za obelżywe – wydzierać się, że nie pozwala mi się tak traktować. (…) Sprawa była o tyle ciekawa, że w całym moim życiu rozmawiałem z nim chyba raz, i to przez moment. Kiedy próbowałem pytać, o co mu chodzi, krzyczał, żebym nie pytał. (…). Sytuacja nieco paranoiczna. Następnego dnia zastanawiałem się, czy mi się aby nie przyśniła. Jednak nie. Wszystko działo się pod kamerą ochrony, której funkcjonariusze zastanawiali się, czy nie reagować”.

Na to Mastalerek o Kędrynie: „Jestem zażenowany. Dzwonią do mnie znajomi dziennikarze, opowiadają, że ten człowiek dzwoni, zmyśla, opowiada jakieś historie, ale jest pewna granica. Myślę, że nieprzekraczalna. Jeżeli ktoś ma jakieś problemy (…) , to niech je rozwiąże, ale niech mnie w to nie miesza, bo z całym szacunkiem: nie ten poziom. (…) Ten pan bardzo chciał zostać ministrem, nawet doradcą. Był zwykłym pracownikiem w Kancelarii Prezydenta. Został wyrzucony właśnie za donoszenie do mediów”.

Trzeci współpracownik Dudy, Paweł Rybicki, bloger znany też jako Rybitzky: „Mastalerek zarzucający komuś nadawanie do mediów to wyższy poziom hipokryzji i bezczelności”.

Znów Kędryna: „W psychologii to się nazywa projekcja”.

Palanciarnia, co? Rozplotkowane wyrostki po czterdziestce. Jaki pan, taki kram. I przekupy.

Demontaż humanitaryzmu nad Wisłą

Według rządowej narracji zawetowana przez Karola Nawrockiego ustawa o pomocy obywatelom Ukrainy w związku z konfliktem zbrojnym na terytorium tego państwa miała uporządkować ochronę i wsparcie dla ludności uciekającej przed wojną. W rzeczywistości kilkukrotnie nowelizowany dokument za każdym razem uszczuplał zakres pomocy, uzasadniając to racjonalizacją, dbaniem o budżet państwowego paśnika oraz uszczelnianiem systemu. Rzecznik rządu Adam Szłapka poinformował, że do posiedzenia sejmu 8 września Rada Ministrów przygotuje rozwiązanie ws. prezydenckiego weta do ustawy. Nawrocki ma też własne pomysły. Od wszystkich propozycji marszczy się dupa.

(Nie) miłuj bliźniego

Płynący na fali populistycznego nacjonalizmu politycy kraju przyfrontowego zaczęli prześcigać się w pomysłach, jak oddzielić ukraińskie ziarna od plew, czyli pozbyć się problemu – nawet za cenę złamania dyrektyw Unii Europejskiej. Prezydencka nowela dokręca śrubkę bardziej niż rządowy projekt, ale w wielu punktach bazuje na wypracowanym przez rząd rozwiązaniach, dlatego warto przyjrzeć się obu.

Chociaż Ukraińcy płynnie przeszli od sprzątania polskich parków w podzięce za pomoc do wyrobienia 328,6 mld zł PKB w ciągu trzech ostatnich lat, Polakom znudziła się gościnność. Wrażliwi na nastroje społeczne politycy postanowili zrobić dobrze swoim słupkom sondażowym i zaczęli przykręcać kurek z pomocą dla uchodźców. Kłopot w tym, że końca wojny i uciekających przed nią mas ludzkich nie widać, a wiele wskazuje na to, że lada moment najbardziej potrzebujący uchodźcy zwyczajnie nie będą mieli czego w Polsce szukać.

Zgodnie z ostatnią nowelizacją, którą sejm uchwalił w maju 2024 r., ukraińscy uchodźcy w Polsce są objęci ochroną czasową do 30 września 2025 r. Zawetowany przez Nawrockiego projekt zakładał przedłużenie tej ochrony do 4 marca 2026 r. W tym miejscu pojawił się pierwszy zgrzyt. Ustawodawca oparł się na decyzji wykonawczej Rady Unii Europejskiej z 25 czerwca 2024 r., która faktycznie zakładała kontynuację okresu ochronnego dla uchodźców do marca 2026 r. Dowcip polega na tym, że całkiem nie tak dawno, bo 13 czerwca 2025 r., Rada UE jednogłośnie poparła przesunięcie tego terminu na marzec roku 2027. Rząd Tuska miał to w jednak w dupie. To jednak dopiero preludium teatru absurdów.

Bombowe pomysły

Ze statystyk licznych NGO-sów wynika, że jedynie 10 proc. uchodźców dających dyla z bombardowanej Ukrainy chce zostać na stałe w Polsce. Mimo to politycy postanowili solidnie uprzykrzyć im życie.

Pierwsza lepa w czaszkę od państwa polskiego spadnie na nowo przybyłych przy załatwianiu tzw. czynności administracyjnych. Jak wiadomo, żeby dostąpić zaszczytów korzystania z krajowych dobrodziejstw jak opieka medyczna, podjęcie pracy itd., każdy obywatel Ukrainy, który przekroczył polską granicę po wybuchu wojny, musi wyrobić PESEL ze statusem UKR. O ile przez samą granicę można przekicać, legitymując się jakimkolwiek dokumentem ze zdjęciem (wyjątek stanowi przejście graniczne w Terespolu, gdzie rozporządzenia UE lądują w okrężnicy strażników), o tyle dzięki ubiegłorocznej nowelizacji ustawy o pomocy ukraińskim uchodźcom popełnionej przez wiceministra Duszczyka, aby dostać PESEL, należy posiadać ważny paszport. Uchodźcy bez dwóch wyżej wspomnianych artefaktów nie należy się szklanka wody ani kawałek podłogi w miejscu zbiorowego zakwaterowania.

Jeśli osobnik będący w tak niewesołym położeniu chciałby skorzystać z dobrodziejstw dyrektywy Unii Europejskiej i w ciągu 90 dni po przybyciu do UE udać się do kraju, w którym mógłby poprosić o ochronę tymczasową – nie zostanie wpuszczony na pokłady samolotów na polskich lotniskach. Pdróżując koleją lub innym naziemnym środkiem transportu do Niemiec, zostanie zawrócony na granicy. Dlaczego? Bo polska straż graniczna nie wystawia zaświadczenia z potwierdzeniem terminu wjazdu (dla przykładu robią tak Łotwa i Estonia), dzięki któremu byłoby wiadomo, czy obejmują go dyrektywy o ochronie.

Liczne organizacje pozarządowe apelowały do rządu o to, aby – podczas prac nad zawetowaną przez Nawrockiego nowelizacją – dokonać zmiany tych bezdusznych przepisów. Niestety bez echa. Na dokładkę dorzucono kolejne utrudnienie.

Osoba, która kiedykolwiek korzystała z ochrony w innym państwie UE (a nie tylko

eprasa.pl 45ce44f7a0

GADMAN

Znów pałują i aresztują za „Solidarność”

Ach, jak mury urosły

„Jeśli to czytacie, to znaczy, że właśnie trafiłem do aresztu zatrzymany przez policję w ramach kolejnego wystąpienia Ostatniego Pokolenia. Z całą pewnością dostanę kryminalne zarzuty i według wszelkiego prawdopodobieństwa zostanę skazany”.

Zadymiarz zglebowany

To napisał Paweł Kasprzak. W Polsce Ludowej działacz NSZZ „Solidarność”, współzałożyciel Niezależnego Zrzeszenia Studentów, ruchu „Wolność i Pokój”. W III RP współzałożyciel i jeden z liderów ruchu Obywatele RP. Ostatnio wspiera młodzieżowy ruch Ostatnie Pokolenie.

Napisał to przed swą kolejną „protestówką”. Zaplanowaną w 45. rocznicę porozumień sierpniowych. Podpisanych w 1980 r. przez władze PRL i Międzyzakładowy Komitet Strajkowy. Pozwalających na legalizację pierwszego niezależnego związku zawodowego Solidarnością zwanego. Teraz Kasprzak prowokacyjnie oblał czerwoną farbą święte dla wszystkich solidaruchów relikwie. Muzealną dziś Bramę dawnej Stoczni Gdańskiej im. Lenina i tablicę z tekstem 21 postulatów spisanych przez strajkujących robotników. Takiego dekalogu tworzącego się wtedy związku zawodowego.

„Oczywiście przyjmuję te konsekwencje i nie skarżę się na swój los – żadna krzywda mnie nie spotyka, a jedynie coś, na co sam się zdecydowałem. Niczyjej głowy bym nie zawracał tą drobną przecież dolegliwością, gdyby nie fakt, że popełniłem zbrodnię znacznie większą niż samo tylko »zniszczenie mienia«.

Dla wielu ludzi pokolenia Sierpnia dokonałem właśnie aktu profanacji ważnego dla nas wszystkich symbolu. Brama Stoczni, ze wszystkimi tymi znakami „Solidarność”, z tekstem 21 postulatów – oblaliśmy ją farbą. Wiedząc, że to Was zaboli. Chcemy, żeby zabolało, bo z bólem patrzymy na świat, o którym z rocznicowych okazji z niesłychaną wprost hipokryzją mówi się, że zrodził go nasz sierpniowy zryw.

Do pokolenia Sierpnia sam należę. Brama nr 2 jest i dla mnie symbolem bezcennym. Sierpień to idea i czas, który ukształtował polską historię i każdego z nas. Mnie również. W Sierpniu i po nim żyłem w Polsce z marzeń, to jest najpiękniejsze z moich wspomnień. Jeśli ktoś z nas myśli jednak, że swoje zrobiliśmy, że przyszedł czas nagród, odznaczeń i oficjalnej celebry w rocznicę, to jest w błędzie” – wyjaśnia motywy swego czynu Paweł Kasprzak.

Szybko został on po swej akcji złapany. Fachowo zglebowany, czyli powalony na ziemię, przygwożdżony do niej regulaminowym policyjnym butem.

Zdjęcie twarzy sześćdziesięcioletniego weterana walki o wolną Polskę trzymanej pod policyjnym butem tejże Polski, może stać się kolejną ikoną burzliwej historii Solidarności.

Pała bohaterom

Należę, podobnie jak Paweł Kasprzak, do pokolenia Solidarności. Latem 1980 r. byłem studentem politologii i dziennikarstwa.

I lewakiem tak radykalnym, że rok wcześniej zablokowano mi wstąpienie do ówczesnej PZPR.

Sympatyzowałem z powstającą Solidarnością do wiosny 1981 r. Trzeba przypomnieć, że zarejestrowany jesienią 1980 r. związek zawodowy NSZZ Solidarność był jednocześnie opozycyjnym ruchem społecznym. Początkowo o lewicowych charakterze.

Szybko do tego wielkiego okrętu jęły przyczepiać się mnożące się ruchy katolickie i nacjonalistyczne, nawet faszyzujące. Chytrzy „reformatorzy”, którzy rugowali postulowany przez strajkujących „socjalizm z ludzką twarzą”. Sącząc im wizje przyjaznego „wolnego rynku”. Polskich sklepów pełnych zachodnich towarów, dostępnych na każdą kieszeń, i utrzymania pełnego zatrudnienia.

Działo się tak przede wszystkim w prowincjonalnej Polsce, w której ciągle żyłem, gdzie ówczesna opozycyjna, KOR-owska „lewica laicka” była słabą i mentalnie obcą. Gdzie nową Solidarność zasilali weterani przedwojennej endecji, spierniczali piłsudczycy, zwolennicy intronizacji Chrystusa Króla na przywrócony polski tron. Wspierali ich podobni im duchowo księża katoliccy. Razem formowali ideowo kadry „niezależnego” związku.

Już wtedy Solidarność dzieliła się – i Polskę – na zdrową, narodową i katolicką, swojską prowincję oraz obcą, kosmopolityczną, salonową warszawkę. Obejmującą swymi zażydzonymi mackami także Gdańsk, Wrocław, Poznań, Szczecin nawet.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Na dwa polskie polityczne plemiona. Jeszcze solidarnie współdziałające w czasie walki z wrażymi komuchami. Ale z biegiem lat komuchy powymierały, albo zajęły się umieraniem, i dawny podział Solidaruchy kontra komuchy stał się nieatrakcyjny politycznie.

Dziś tamten wewnętrzny, solidarnościowy podział utrwalił się i powiększył nawet. Mamy plemię narodowo-katolickich Polaków, zwykle antyelitarnych i antymetropolitarnych. I drugie plemię: wielkomiejskich, proeuropejskich Polaków preferujących świeckie państwo oraz eksponujących swe demokratyczne wartości. Nie zawsze w życiu praktykowane.

Oba plemiona swą zdolność do sprawowania rządów dusz i portfeli Polaków uzasadniają swym solidarnościowym rodowodem.

Posiadaniem etosu tamtej wspaniałej Solidarności, która obaliła w Polsce „komunizm” i Berliński Mur w Europie. Wolność, solidarność i demokrację sobie i światu przyniosła.

Ale oba solidarnościowe plemiona od lat świętują święte dla siebie solidarnościowe rocznice osobno. Solidarnie nie zapraszają się na nie.

Nadal żyjący liderzy solidarnościowego ruchu też wspólnie rocznic nie obchodzą. Bo każde z solidarnościowych plemion akceptuje tylko niektórych historycznych liderów tego prodemokratycznego ruchu.

Zaprasza i propaguje jedynie tych uznanych za swoich. Ci nie swoi, zwłaszcza ci kolaborujący z wrogim, choć też solidarnościowym plemieniem, są konsekwentnie w mediach plugawieni i wymazywani ze wspólnej polskiej historii.

Podobnie było w stalinowskiej Rosji Radzieckiej. Tam podpadnięci stalinowskiej władzy towarzysze Trocki, Bucharin, Jagoda, Jeżow, po splugawieniu ich przez usłużnych władzy historyków, też byli konsekwentnie wymazywani ze zdjęć, kart historii. Na koniec mordowani.

W Polsce jeszcze splugawionych liderów nie mordują.

Batyr na nowe czasy

Ale jedyny powszechnie znany na świecie przywódca Solidarności Lech Wałęsa został już wystarczająco splugawiony przez politycznych przyjaciół prezydenta Nawrockiego. Tegorocznej rocznicy Wałęsa w Polsce nie świętował. Ten 82-letni, schorowany polityk wyjechał do USA i Kanady. Dorabiać tam płatnymi wykładami do swej niepowalającej prezydenckiej emerytury. Gdyby elektryk Wałęsa nie zrobił w 1980 r. politycznego spięcia, które „obaliło socjalizm”, to jako emerytowany stoczniowiec pewnie nie musiałby pracować na emigracji.

W tym roku najważniejszym bohaterem rocznicowych obchodów w prawicowych mediach był „syn robotnika ze stoczni i członka Solidarności” prezydent Karol Nawrocki. Nowy Mateusz Birkut, nowy Batyr na nowe czasy. On to celnie zauważył, że tamte porozumienia były „wejściem na drogę powrotną do tego, aby Polska była Polską”. I to dzisiejszym Polakom ma wystarczyć.

Za to stary solidaruch Kasprzyk ciągle jątrzy: „Pamiętacie hutników strajkujących o pensje pielęgniarek i oferujących im wywalczone dla siebie podwyżki – bo pielęgniarkom żyło się gorzej, a strajkować nie mogły? Pomyśleć o takiej solidarności w Polsce dzisiaj byłoby przecież szaleństwem! Co stało się z tym, co w Sierpniu i długo po nim było wartością największą, ze zwykłą ludzką solidarnością?

Żaden z nas nie przeszedłby obojętnie – wtedy, w Sierpniu – obok dzisiejszych wielkich nierówności społecznych, przecież niepomiernie większych niż wtedy. Żaden z nas nie patrzyłby bezczynnie i nikt z nas nie pochwaliłby »chłopców w mundurach« odpowiedzialnych za śmierć niewinnych ludzi

na polskiej granicy. Żaden z nas nie milczałby wobec odradzającego się faszyzmu i jego triumfalnego marszu przez Polskę. Nikt z nas nie pochwaliłby antysemityzmu. Zakłamywania historii. Kłamstw w życiu publicznym. Dziś wszyscy to właśnie widzimy. A tylko bardzo nieliczni z nas się buntują”…

Niestety brawurowa protestówka wiecznego zadymiarza Pawła Kasprzyka zakończyła się chwilową klapą. Nie dlatego, że policja interweniowała szybciej i profesjonalniej niż dawne ZOMO.

Protest solidarnościowego weterana solidarnie olały, poza „Gazetą Wyborczą”, wszystkie większe krajowe media. Nawet te z solidarnościowymi rodowodami, nawet te reklamujące się jako „wolne”. Każdy, kto kiedyś robił zadymy i protestówki, wie, że największą klęską jest ich medialna społeczna anonimowość. Kiedy opinia publiczna o proteście nie dowie się albo zabije go zimną obojętnością.

PIOTR GADZINOWSKI

obecnie, jak zakłada aktualna ustawa), nie uzyską już numeru PESEL UKR.

Żeby chorym i niepełnosprawnym przybywającym do Polski nie było zbyt łatwo, nowe wytyczne zwalniają organ gminy z obowiązku pobierania odcisków palców w miejscu pobytu osoby ubiegającej się o PESEL. Krótko mówiąc, kuternogi i paralitycy będą musieli stawić się w urzędzie osobiście. Oczywiście niezwłocznie – cokolwiek to znaczy, bo ustawodawca taki zapis uczynił, ale nie sprecyzował. Rzecznik praw obywatelskich uznał, że dotychczasowe rozwiązanie – mobilna obsługa w szczególnie uzasadnionych przypadkach – powinno być zachowane, ale nikt się nie przejął jego opinią.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Boga nie stwierdzono

Nawet jeśli uchodźca dostanie upragniony PESEL UKR, nie oznacza to, że złapał Boga za nogi. Wedle projektowanych przepisów nie posmyra Bozi nawet po czubku pindola, bowiem w planach jest zakończenie przyjmowania uchodźców wojennych z Ukrainy do ośrodków zbiorowego zakwaterowania (OZZ) po 31 października 2025 r., z wyjątkiem osób należących do grup wrażliwych.

Do grona szczęśliwców załapią się osoby z orzeczeniem o niepełnosprawności i ich opiekunowie – o ile nie pobierają świadczenia pielęgnacyjnego. Szkopuł w tym, że orzeczenie musi być wydane przez polski ZUS. Pomijając fakt, że instytucja uzdrawia skuteczniej niż nadgniłe relikwie świętych – proces uzyskania orzeczenia jest, jak powszechnie wiadomo, w prącie czasochłonny, trwa miesiącami. Do tego czasu trwale uszkodzeni mogą – jeśli dosięgną – pocałować się w dupę, wojewoda nie ma obowiązku zapewnienia im schronienia.

Reszta uprzywilejowanych państwowym edyktem to m.in.: kobiety w ciąży, osoby wychowujące dziecko do 12. miesiąca życia, samotni rodzice trójki dzieci, jeśli jedno z nich ma mniej niż 7 lat, małoletni w pieczy zastępczej lub małoletni, na których nie jest pobierane świadczenie 800+. Na liście znalazły się również kobiety po sześćdziesiątce i mężczyźni w wieku 65+, bez prawa do polskiej emerytury. Kaszojady, na które przysługuje 800+, i seniorzy z polską emeryturą będą zobowiązani do odpłatności za usługi noclegowo-żywieniowe. Gwoli wyjaśnienia, obecnie każdy, kto korzysta z państwowych noclegowni powyżej 120 dni od wjazdu na teren Polski, płaci za pobyt w takim miejscu. Zwolnienie z opłaty mogło dotychczas nastąpić na wniosek zainteresowanego w wyjątkowych sytuacjach życiowych. Z tego narzędzia również zrezygnowano „ze względu na brak jednolitości w sposobie rozpatrywania wniosków”.

Ci, którzy obecnie np. wykonują nisko płatną pracę i pomieszkują w OZZ, zostaną wystawieni za drzwi.

Dla zobrazowania katastrofy wystarczy sobie wyobrazić 58-letnią babcię, która jest prawnym opiekunem niepełnosprawnego dziecka i musi czekać na polskie orzeczenie. Albo samotną matkę dwójki małoletnich dzieci, która nie może iść do pracy i zostanie pozbawiona 800+ przez prezydenta Nawrockiego, ale będzie musiała płacić za pobyt w noclegowni.

Zresztą, pan prezydent w duchu chrześcijańskiej miłości zapowiedział też, że opieka medyczna w ramach NFZ będzie przysługiwać tylko pracującym, bądź zarejestrowanym w urzędzie dla bezrobotnych uchodźcom. Jeśli zatem ktoś będzie jechał przez Polskę tranzytem i zdarzy mu się większe nieszczęście niż bycie ukraińskim uchodźcą, nie wystarczy wyrobienie PESEL-u. Albo będzie zapierdalał z bebechami w rękach do urzędu, albo dostanie elegancki rachunek z lecznicy. To samo będzie się tyczyć oczekujących na orzeczenie o niepełnosprawności.

Deser

Ustawodawcy zaproponowali także podniesienie wymaganego minimum liczby mieszkańców z 10 do 20, aby uznać ośrodek za obiekt zbiorowego zakwaterowania. To spowoduje demolkę w utrzymaniu małych ośrodków, szczególnie w mniejszych miejscowościach, gdzie liczba lokatorów jest ograniczona. Jeśli miejscówka zostanie zlikwidowana, wojewoda będzie musiał przenieść rezydentów do innych placówek spełniających nową definicję. Dla części obywateli Ukrainy konieczność relokacji może mieć nieprzyjemne konsekwencje, np. zwiększenie odległości od pracy czy szkoły.

Generalnie większość rządowych planów jest niezgodna z przepisami Dyrektywy Rady 2001/55/WE z dnia 20 lipca 2001 r. w sprawie minimalnych standardów przyznawania ochrony czasowej. Zgodnie z art. 13 ust. 1 dyrektywy, państwa członkowskie mają obowiązek zapewnienia osobom korzystającym z tymczasowej ochrony dostępu do odpowiedniego zakwaterowania oraz, gdzie konieczne, niezbędne środki do jego uzyskania.

Z bublami ustawy próbują walczyć rzecznik praw obywatelskich i rzesza organizacji pozarządowych (m.in. Sunflower Care, Ogólnopolski Strajk Kobiet, Asymetryści, Helping To Leave) – niestety wszystko wskazuje na to, że gówno to da.

Narracja Nawrockiego o przywilejach, które należą się przede wszystkim Polakom, jest bardzo intuicyjna. Obywatele powinni dostawać, a nieobywatele – nie. Proste. Skutki tych podziałów i upośledzona polityka rządu wobec uchodźców doprowadzą do kolejnych nierówności społecznych, tworzenia się enklaw i wzrostu liczby osób w kryzysie bezdomności, a w konsekwencji tego, co prawica uwielbia nazywać *no go zones*, strasząc, że tak właśnie wygląda wpuszczanie obcych do kraju.

Według informacji MSWiA w ośrodkach zbiorowego zakwaterowania na początku lipca mieszkało 24,5 tys. osób. Wielu z nich – oraz tym, którzy do Polski dopiero trafią – niebawem będzie się odbijać orlimi piórami.

IDALIA DUBICKA

eprasa.pl 45ce44f7a0

Między Radą Doskonałości a Sądem Najwyższym

ETYKA BEZBOŻNA



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Honorowa Pani M.

Świat akademicki jest dość egzotyczny dla normalnych ludzi. A nasz, polski, w szczególności, bo żyjemy w nim pośród dekoracji rodem z XIX w. Jedną z nich jest tytuł naukowy profesora.

To pamiątka po czasach, gdy profesor uniwersytetu był swego rodzaju urzędnikiem – funkcjonariuszem państwowym, odpowiedzialnym za kształcenie elit. Dlatego profesora profesorem czynił rosyjski car i – odpowiednio – niemiecki cesarz. I tak zostało, choć zabory się jakby skończyły. W latach 90. mówiło się na to „profesor belwederski", bo tytuły wręczał Wałęsa, który stacjonował w Belwederze. Teraz mówi się różnie, a często błędnie. Ludziom wszystko się miesza, a już zwłaszcza (nieistniejące już) stanowisko uczelniane profesora zwyczajnego z państwową profesurą tytularną, czyli tym, o czym teraz mówię.

Generalnie sprawa jest raczej prestiżowej niż praktycznej natury. Ludzi, którzy mają stanowisko profesora na uczelniach – czyli są zatrudnieni na stanowisku pracy zwanym „profesor" – jest kilkakrotnie więcej niż takich, którzy do nazwiska mają przyrośnięte, niczym jakiś tytuł szlachecki, wieczyste „prof.". Posiadanie tego tytułu w praktyce znaczy tyle, że zarabia się jakieś 800 zł więcej; uprawnienia są natomiast te same co w przypadku każdego naukowca posiadającego stopień doktora habilitowanego. Dlatego

starania o tytuł naukowy profesora mają znaczenie niemal wyłącznie ambicjonalne. I właśnie dlatego nawet nie bardzo wypada się starać. Dawniej czekało się, aż ktoś z nestorów wydziału zaproponuje,

aby dla danej osoby uruchomić „postępowanie o nadanie tytułu naukowego profesora". Obecna ustawa wymaga jednakże, aby z inicjatywą wyszedł sam kandydat. Profesura przestała być w nowych warunkach prawnych całkiem honorową sprawą i na podobieństwo niższych rang akademickich stała się na tyle uregulowana i wymierna, że traktuje się jako coś, co się po prostu w pewnym momencie człowiekowi należy. Należy z racji jego naukowego dorobku.

I tu właśnie wjeżdża na jabłkowitym kucyku, cała w grochy pani sędzia, Pierwsza Prezes Sądu Najwyższego dr habilitowana nauk prawnych, Wielka Przyjaciółka Andrzeja Dudy Małgorzata Manowska. Wjeżdża z wielkim wołaniem: „Mię się tytuł profesora nauk prawnych po prostu należy!". I choć recenzenci jak komu dobremu tłumaczyli jej w swoich negatywnych recenzjach, że się nie należy, bo ma dalece niewystarczający dorobek, a na dodatek przepisuje w kolejnych pracach od samej siebie, to pani się uparła. A że chodzi o ważną panią z PiS, Rada Doskonałości Naukowej (wybaczcie, ale nie ja odpowiadam za tę idiotyczną nazwę), która zajmuje się profesurami, w jakimś zaćmieniu umysłu głosowała nad sprawą Manowskiej dwa razy. Nie wdając się w szczegóły, o co tam chodziło, trzeba powiedzieć, że ani za pierwszym, ani za drugim razem nie było większości niezbędnej do „wystąpienia do prezydenta o nadanie tytułu naukowego profesora". Skończyło się więc odmową. I co? Normalny człowiek, który przegrał swoją sprawę w RDN z powodu negatywnych recenzji, podkula ogon pod siebie, modląc się, żeby wiadomość o jego porażce nie rozniosła się szeroko. Bo to po prostu straszny wstyd. O takie rzeczy, jak tytuł profesorski, człowiek honoru ubiega się wyłącznie wtedy, gdy jest pewien (i inni są pewni), że zasłużył na niego nie „na granicy", lecz z nawiązką. Inaczej to niehonorowo!

Tylko że te sprawy są najzupełniej obce pani Manowskiej, która słynie z niebywale wysokiego mniemania o sobie i niebywale liberalnego podejścia do przepisów określających sposób działania Sądu Najwyższego. Nie bacząc na żaden honor, postanowiła wystąpić do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego ze skargą na odmowną decyzję RDN. Sądy administracyjne nie zajmują się tym, czy ktoś powinien, czy nie powinien otrzymać tytuł profesora, lecz jedynie sprawdzają poprawność formalną procedury administracyjnej. Jeśli Manowska jakimś cudem swoją sprawę wygra, to zapewne jej przewód profesorski będzie musiał być powtórzony.

Nieważne. Nie ma znaczenia, czy Manowska wyrwie kiedyś ten tytuł, czy nie. Środowisko prawnicze nigdy nie będzie widziało w niej profesora, lecz jedynie roszczeniową i zaborczą funkcjonariuszkę partyjną, umieszczoną na pozycji prezesa SN, a niehonorowy upór w walce o tytuł profesorski dodatkowo tylko ją kompromituje. Jednakże jej godna pożałowania walka o prestiż, którego i tak nie jest w stanie zdobyć, nasuwa pytanie o to, co w naszych czasach stało się z honorem.

W średniowieczu honor był niemalże wszystkim. Mogłeś być paskudnym przemocowcem i wyzyskiwaczem, wrednym i podłym człowiekiem, lecz stan szlachecki bądź rycerski zobowiązywał cię do dbałości o kilka cnót, których posiadanie gwarantowało podtrzymywanie uprzywilejowanego statusu w strukturze społecznej. Należała do nich odwaga w walce, słowność, wierność przełożonym i gotowość do wspierania wysoko urodzonych kobiet, pozbawionych męskiej opieki. Kto zaś śmiałby rycerzowi wytknąć, że którejś z tych cnót nie posiada, tego czekałoby wyzwanie na pojedynek. Albowiem nad wszystkimi wspomnianymi cnotami stała osobliwa „nadcnota", czyli właśnie honor. Honor to wszystko to, co sprawia, że człowiek należytego rodu zasługuje na ten szacunek, jaki przypisany jest do jego statusu.

Czasy nowe pozostawiły z honoru coś, co nazywamy dobrym imieniem. Gdy wszyscy są równi, nie ma mowy o tym, by rezerwować jakieś cnoty dla uprzywilejowanych. Za to nikt, niezależnie od statusu społecznego, nie chce uchodzić za niegodziwca, głupca czy nieudacznika. Dobre imię to zdrowa moralna ambicja i dobrze, gdy nam na nim zależy. Gorzej, gdy zaczynamy być obojętni na to, „co ludzie powiedzą". Od wzgardy dla „ludzkiego gadania" do utraty wszelkich moralnych aspiracji, łącznie z aspirowaniem do dobrego imienia, jest tylko jeden krok. Ciekawe, czy pani Manowska już go uczyniła. W każdym razie zachowuje się jak ktoś, komu na opinii nie zależy nic a nic. Ale w takim razie po co jej tytuł profesora, który ze swej natury jest właśnie honorowy?

JAN HARTMAN

Czy już jesteśmy bohaterami Orwella?

Rodzi się faszyzm

SŁOWO CZERWONE

Tempo, w jakim nasze społeczeństwo brunatnieje, jest niepojęte. Liberałowie przez cały okres transformacji uczyli nas pogardy dla tych, którym się gorzej wiedzie: bezrobotnych, bezdomnych czy po prostu biednych, pozbawionych takich wyróżników statusu jak samochód, własne mieszkanie, drogie ubrania, drogie telefony komórkowe. Nauczono nas się z nich wyśmiewać i ich unikać. Stąd grodzone osiedla z ochroną, żeby broń Boże nie kontaktować się z biednymi, tak jak gdyby biedą można było się zarazić. Biednych nazywano – i nazywa się do dziś – „patologią".

Potem przyszła kolej na ludzi innych kultur i ras. Okazuje się niechęć ludziom, którzy wyglądają na cudzoziemców. Zwłaszcza o ciemniejszym kolorze skóry. Ich napływ zaczął się o wiele wcześniej niż podrzucanie ich przez białoruską granicę. Ludzie, którzy dostali się do naszego kraju nielegalnie, to niewielka część przybyszów. Ale dostaje się wszystkim, którzy inaczej wyglądają. Na początku to były tylko docinki i nieprzyjazne gesty. Dziś dochodzi do napaści fizycznych. Ostatnio pobito członków zespołu ludowego z Urugwaju. Mieli na sobie stroje ludowe, bo przybyli do Polski na festiwal folkowy. I oberwali.

Polska jest krajem olbrzymich kontrastów społecznych. Niezamożna większość nie czuje wsparcia państwa, czuje się gorsza i upokorzona. Napuszczanie ludzi na obcych jest odwróceniem uwagi od faktycznych sprawców niedostatków i upokorzeń. Nie ma mieszkań? To na pewno dlatego, że rozdano je Ukraińcom albo przygotowuje się je dla migrantów. Na lekarza czeka się miesiącami, jeśli nie latami – a Ukraińcy mają pomoc medyczną bez kolejki. Itd…

Za biedę i oburzające nierówności odpowiedzialna jest miejscowa, polska elita, która sprytnie kieruje złość i gniew ludu przeciwko obcym. Tych obcych się dehumanizuje i diabolizuje. Ilekroć dzieje się coś złego – ktoś kogoś zgwałci, pobije, okradnie – nagłaśnia się tylko te przypadki, w których podejrzanym, winnym jest „obcy". Tak jak gdyby Polacy nie popełniali przestępstw przeciwko życiu, zdrowiu i mieniu.

W mediach i w necie prowadzi się seanse nienawiści przeciw migrantom. Przybysze z krajów globalnego Południa są anonimową groźną masą. Raczej nie pokazuje się ich jak poszczególnych ludzi mających imiona, nazwiska, rodziny, marzenia czy plany na przyszłość. W końcu są „nieosobami".

Ludzie o słabym statusie społecznym, spychani na margines, upokarzani mają wreszcie kogoś, kto stoi niżej od nich. Bo jest obcy, nie jest Polakiem. A ci poniżeni ludzie szczycą się, że są Polakami.

Fakt urodzenia się w tym, a nie innym miejscu nie jest zasługą tego, kto się urodził. Ale jak nie ma niczego innego, czym moglibyśmy się szczycić, to „nie wybiera ten, co musi, co wybrać nie ma w czym" – jak śpiewał Jacek Kaczmarski.

Powstają więc bojówki obrońców granic. Cudzoziemców straszą uzbrojone w kije bejsbolowe bandy zaczepiające wjeżdżających do Polski ludzi o ciemnej karnacji. Niedawno moja znajoma, która poślubiła Kubańczyka, wracała z Niemiec do Polski z wakacji, ze swoim dziewięcioletnim synkiem, ciemnoskórym. Napotkała taką bojówkę i przeszła przez piekło, nie mówiąc już o przerażeniu dziecka, którego mimo porządku w papierach bojówka nie chciała wpuścić.

Nasz patriotyzm się wykoleił. Zamiast nas łączyć w przywiązaniu do własnej kultury, do naszej ziemi, opiera się na nienawiści do obcych, do nie-Polaków.

Sączenie w mediach hejtu wobec przybyszów swą kulminację znalazło w nienawiści i pogardzie wobec uchodźców i pracowników z Ukrainy. W szowinistycznej retoryce mówi się o nich „ukry" albo określa się ich zbiorowym nacechowanym wrogością słowem „Ukraina". Prezydent podsycił jeszcze te nastroje, wetując ustawę o pomocy Ukraińcom. Rezultatem veta jest obniżenie statusu Ukraińców niemal do poziomu, jaki mają nielegalni imigranci. Niepewne prawo pobytu, ograniczenie świadczeń medycznych i socjalnych.

Co ciekawe, o Ukraińców upomnieli się przedsiębiorcy – a nie są to środowiska słynące z empatii. Po prostu groźba exodusu ukraińskich pracowników z Polski uderza wprost w polską gospodarkę. Jak to się stało, że od wspaniałych gestów solidarności z ofiarami rosyjskiej agresji przeszliśmy do niechęci, a nawet nienawiści? To proste, Ukraińcy stali się kolejnym kozłem ofiarnym niesprawiedliwych rządów i rosnącego rozwarstwienia.

To zjawisko, które my nazywamy hejtowaniem, George Orwell w „Roku 1984" nazwał seansami nienawiści. Bohater książki, Winston Smith, opisuje taki seans „owładnięty panicznym strachem", który sprawia, że „pomija najpierw wielkie litery, a potem także kropki":



Rys. OBYWATEL JANEK

„Wczorajszy wieczór w kinie. Same filmy wojenne. Jeden świetny, o bombardowanym gdzieś na Morzu Śródziemnym statku pełnym uchodźców. Publiczność bardzo ubawiona widokiem ogromnego mężczyzny próbującego uciec wpław przed helikopterem. najpierw widzimy go chlapiącego się w wodzie jakby był żółwiem, następnie przez celownik helikoptera, wreszcie podziurawionego, podczas gdy morze wokół niego robi się czerwone on tonie tak szybko, jakby przez dziury w ciele wlewała się woda. kiedy tonie publiczność ryczy ze śmiechu. potem widać łódź ratunkową pełną dzieci a nad nią helikopter. kobieta w średnim wieku może żydówka siedzi na dziobie łodzi z mniej więcej trzyletnim chłopcem w ramionach. chłopiec krzyczy ze strachu i chowa głowę między jej piersiami jakby miał się w niej zagrzebać a kobieta otacza go ramionami i pociesza chociaż sama jest blada z przerażenia. cały czas okrywa go tak szczelnie jak tylko się da jakby miała nadzieję że jej ramiona mogą go ochronić przed kulami. wtedy helikopter spuszcza na nich bombę dwudziestokilową straszliwy blask i z łodzi zostają tylko drzazgi. potem wspaniałe ujęcie dziecięcego ramienia wzlatującego wyżej i wyżej i wyżej widocznie filmował to helikopter z kamerą z przodu i rozlega się gromki aplauz z partyjnych rzędów tymczasem jedna prolka robi hecę że nie powinni tego dawać nie przy dzieciach tak nie wolno nie wolno nie przy dzieciach aż policja ją aż ją policja wyrzuciła nie sądzę żeby coś jej zrobili kogo obchodzą prole to typowa prolska reakcja oni nigdy"…

Czy już jesteśmy tacy jak opisana przez Orwella publiczność? Czy dopiero się tacy staniemy?

PIOTR IKONOWICZ

eprasa.pl 45ce44f7a0

Bajki dla myślących

A może by tak założyć spółdzielnię?

Stawiajmy opór feudałom

Z czeluści ostatniego ćwierćwiecza turbokapitalizmu wychynęło monstrum: technofeudalizm. Zaobserwował go i ochrzcił tym mianem grecki ekonomista i krótkotrwały minister finansów w rządzie Syrizy, Yanis Varoufakis. To nowy potwór znanej, oplatającej swymi mackami cały świat plagi – systemu zglobalizowanego, finansowego kapitalizmu. Musiał on Yanisa nieźle nastraszyć i wkurzyć aż tak, że postanowił ostrzec przed nim ludzkość, pisząc książkę: „Technofeudalizm. Co zabiło kapitalizm?”.

Podtytuł jest, jak sądzę, wyrazem jego litości dla starego dobrego kapitalizmu, za którym, jak źle pójdzie, jeszcze zatęsknimy. Kapitalizmu, w którym kapitalista budował fabryki, produkował coś pożytecznego i osobiście nadzorował swoją firmę. Technofeudalizm to, według Varoufakisa, nowy diabelski system, który stanowi zagrożenie dla przyszłości cywilizacji i będzie trudny do przezwyciężenia ze względu na dominację korporacji.

Dlaczego technofeudalizm? Chodzi oczywiście o tzw. big techy, które w miejsce panów feudalnych – średniowiecznych posiadaczy ziemskich latyfundiów – panują nad naszą przestrzenią symboliczną, czyniąc z nas „cyfrowych chłopów”. Stajemy się zależni od platform technologicznych, podobnie jak chłopi byli zależni od swoich panów. Użytkownicy muszą bowiem korzystać z tych platform, aby realizować codzienne czynności. Firmy technologiczne kontrolują kluczowe cyfrowe platformy i zbierają ogromne ilości danych, które stają się nowym „lennem”. Wysysane od użytkowników dane i wartości sterują ich zachowaniami oraz dostępem do rynków, czyli działając swoimi algorytmami, zastępują i zniekształcają mechanizmy rynkowe w celu osiągania własnych korzyści na globalną skalę.

Ale chodzi nie tylko o gospodarczy skutek działania technologicznych potworów. Uważam, że jest znacznie gorzej, niż twierdzi Varoufakis: technologiczni feudałowie sekwencjonują i dzielą społeczeństwa (tworząc tzw. bańki). „Dziel i rządź” – nastawiają przeciw sobie swoich lennych poddanych. Poprzez sterowanie preferencjami swoich algorytmów zastępują opartą na faktach informację i wiedzę iluzją bezwartościowych, opartych na emocjach i wrażeniach opinii. Emocje ludzi generują im kasę. Wywierają także wpływ na procesy demokratyczne, coraz częściej skutecznie nimi sterując – to przecież stare, niespełnione dotychczas w pełni marzenie finansjery.

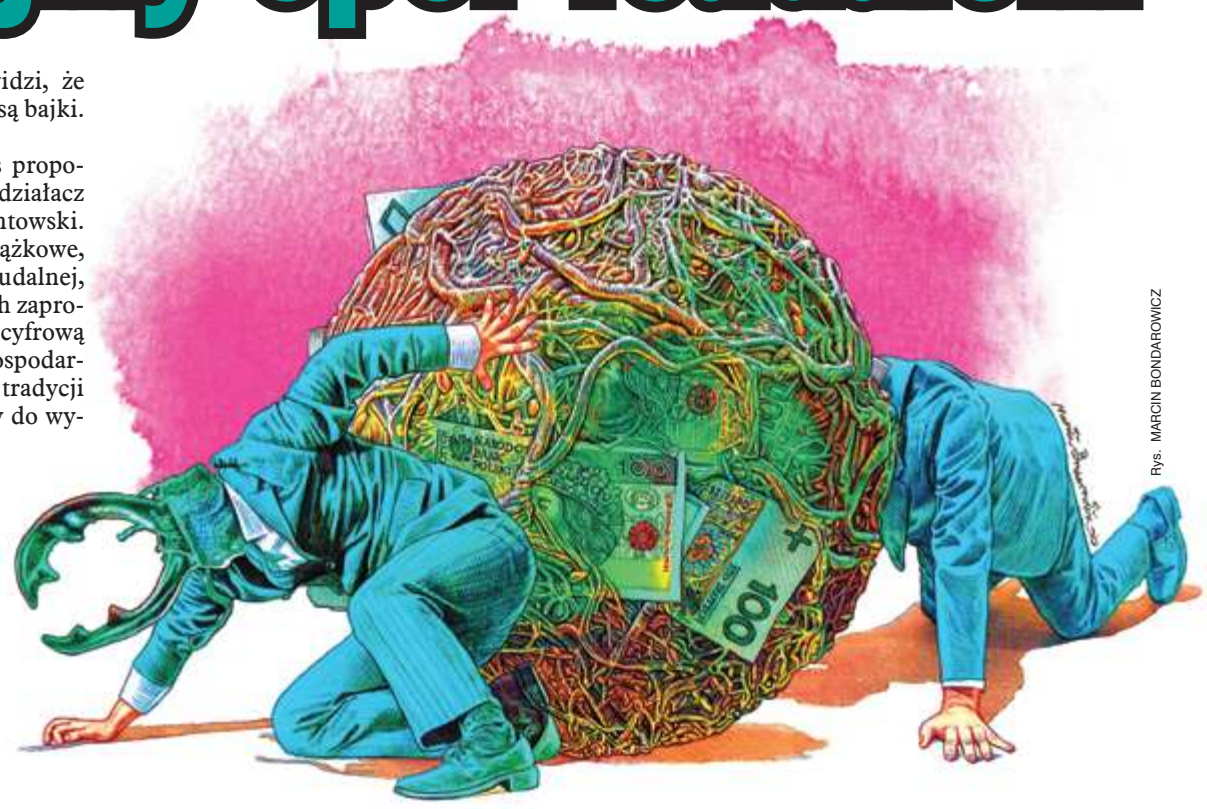
Patrząc na to z dystansu, każdy widzi, że mamy raczej przejebane. Ale od czegóż są bajki.

Taką pocieszającą, bo dającą jakieś propozycje, bajkę opowiada ekonomista i działacz spółdzielczy Jan Oleszczuk-Zygmuntowski. Polecam Wam jego wypowiedzi książkowe, a także (co poradzić) w wersji technofeudalnej, bo algorytmy niekoniecznie Was do nich zaprowadzą. Proponuje on spółdzielczość cyfrową jako alternatywny model organizacji gospodarczej i społecznej, czerpiący z bogatych tradycji ruchu spółdzielczego oraz dostosowany do wyzwań ery cyfrowej.

A zatem wyobraź sobie, że

naród, nie całkiem jeszcze ogłupiony, w odpowiedzi na zaciskające się uściski potwora, przystąpił dość powszechnie do zakładania spółdzielni. Stało się to możliwe, ponieważ spółdzielczość wsparta została aktywnie przez państwo,

które utworzyło system banków komunalnych, wyposażonych w instrumenty finansowego wspomagana spółdzielczości. Spółdzielcza struktura własnościowa zamiast dyktatu feudała zapewniła w pełni demokratyczną kontrolę nad algorytmami i zasadami funkcjonowania platform. Redystrybucję zysków do społeczności użytkowników zamiast do zewnętrznych akcjonariuszy. Przezroczyste mechanizmy gromadzenia i wykorzystania danych, które są traktowane jako wspólny zasób, a nie towar. Eliminację patologicznych modeli biznesowych opartych na inwigilacji i manipulacji – czyli suwerenność technologiczną przez spółdzielczą własność.



Rys. MARCIN BONDAROWICZ

Formy spółdzielcze mogły dotyczyć także platform dostawców. Zamiast Ubera czy Wolta funkcjonowała platforma spółdzielcza kierowców i dostawców, gdzie algorytmy zostały zaprojektowane dla maksymalizacji dobrostanu pracowników, a nie zysku korporacji. Opłaty platformowe były ograniczone do niezbędnego minimum pokrywającego koszty operacyjne. Decyzje strategiczne były podejmowane demokratycznie przez wszystkich spółdzielców, a zyski były reinwestowane w rozwój platformy lub wypłacane użytkownikom. W modelu spółdzielczym technologia przestaje być narzędziem wyzysku, a staje się infrastrukturą emancypacji.

Ale jak wspomniałam, spółdzielczość to przecież nie tylko kooperatywy cyfrowe. Wyobraź sobie, że w świecie tej bajki powstają, powoływane na podstawie przemyślanego prawa spółdzielczego, także spółdzielnie mieszkaniowe, energetyka obywatelska, kooperatywy w sektorze kreatywnym i kulturowym i inne spółdzielnie wytwórców i usługodawców.

Może być mądrzej, korzystniej dla zwykłych ludzi i – co ważne – efektywniej ekonomicznie. Jednak aby zrealizować ten śmiały (bo bajkowy) projekt cywilizacyjny, który czerpie z najlepszych tradycji spółdzielczości i łączy je z wyzwaniami ery cyfrowej, trzeba opowiadać bajki. Tylko śmiałe i kreatywne wizje są w stanie zmienić świat.

ANNA GRODZKA

PLURALIS MAIESTATIS

Rozważania o edukacji narodowej

Jak lisy schodzą na psy

W 1959 r., Rosjanin Dmitrij Bielajew rozpoczął eksperyment domestykacji lisów. Potrzebował tego, żeby wykminić, jak udomowiliśmy psy. Pracę sobie trochę ułatwił, bo nie sięgnął po rudego Lisa Przecherę, a po srebrne lisy kanadyjskie. Łagodniejsze, introdukowane z kapitalistycznych ferm silver foxy. Jak wyglądały? Jak ożywione futro na grzbiecie polskich aktorek grających kurwy w peerelowskich serialach.

Piękne to futro zniknęło w wyniku krzyżowania najmniej płochliwych osobników. Liski dostały łaty, klapnęły im uszka, a nawet ogonek się zakręcił. Gdzieś około 18. pokolenia lisy Bielajewa zaczęły szczekać. Eksperyment trwał jeszcze w latach 20. XXI w. Liski przynosiły zabawki, łaziły na smyczy – znaczy spsiały. I minęło 40 lisich pokoleń… Cholera wie, co z lisami dzieje się teraz?

Jednak cały ten eksperyment rzuca mi jakieś światło na udomowienie człowieka i różne socjotechniczne zabawy, rozpoczynane z dzieciarnią od przedszkola. Wszakże nie było czasów w historii, gdzie cztery ludzkie pokolenia (nie mówiąc już o czterdziestu!) dożyły swoich dni we względnym komforcie, bez wojen i zaraz. Redaktor KAT zauważyła w minionym numerze „NIE”, że w gruncie rzeczy szkoła jej się psu na budę przydała, i ja mogę redaktor KAT przyklasnąć! Dlatego tylko z lekkim drżeniem powieki – związanym bardziej z wypłukaniem magnezu z organizmu niż emocjami – śledzę jazdy, jakie polskiej szkole zafundowały ministra Barbara Nowacka i wiceministra Katarzyna Lubnauer. Pierwsza pani założyła partię, która się nazywa Inicjatywa Polska. Druga pani była niegdyś przewodniczącą partii Nowoczesna. Obie partie rzecz jasna istnieją, choć jesienią mają być skonsumowane przez PO. Daje to jakieś szanse Nowackiej i Lubnauer, że nie zostaną na trwałe wyrzygane z polityki. Mnie to chuj, żaden dzwonek mnie już do szkoły nie podrywa, ale nie wiem co na to uczniowie i ich rodzice.

Jak na razie starzy będą musieli wytrzepywać pronto kasę na smartfony, bo oto Ministerstwo Edukacji wymyśliło legitymację szkolną w aplikacji mObywatel 2.0. I kto z rywalizującego szczeniactwa chciałby teraz popierdalać z papierową?

W sumie w życiu najmłodszych Polaków istotnie smartfonów jest za mało. Klikanie w pudełko wcale ich nie otępia, nie uzależnia i nie prowadzi do bezsenności. To teraz jest wyraz ich wolności – od wolności.

Papier łapie kurz, a od czytania psują się oczy – dlatego i lektur będzie mniej, tych szkolnych.

Dobra; lekcji religii też będzie mniej. Nie zapominajmy, że Lubnauer już w 2015 r. była inicjatorką imprezy „Świecka szkoła” – obywatelskiej inicjatywy ustawodawczej o zniesieniu finansowania religii z budżetu państwa. Nierealne to, biorąc pod uwagę konkordat, ale zawsze parę głosów w wyborach się zdobędzie. Tak czy siak, religia w tym roku pojawia się w wersji okrojonej – część rodziców to spienia, będą organizować zrzutki na



Rys. JANUARY

dodatkowe lekcje i hajs dla katechetów. Katecheci spienieni są podwójnie, bo mogą wylądować na zielonej trawce. Do tego zaproponowano im, aby z braku religii przerzucili się na nauczanie przedmiotu „edukacja zdrowotna”. W sumie nie rozumiem, o co ten wrzask – dawno temu, bez zbędnych ceregieli, rusycystki w mojej szkole podstawowej przebranżowiły się na katechetki. Teraz pora na kolejny ruch. Choć nie wiem, na jak długo, bo na świecie prawica w tzw. natarciu. „Edukacja zdrowotna jest nieobowiązkowa, ale bardzo zachęcam wszystkich rodziców, dla których istotne jest zdrowie psychiczne, fizyczne dzieci i którzy wiedzą, że dzieci potrzebują dobrych informacji i dostaną je od najlepiej przygotowanych osób, czyli nauczycielek i nauczycieli: zapiszcie dzieci, zobaczcie, jaki to jest ważny i potrzebny przedmiot. Kryzys zdrowia psychicznego jest faktem, dajemy dzieciom odporność” – tokowała niedawno Nowacka. Na pytanie, czy aby edukacja zdrowotna nie jest czystą polityką, odpowiedziała, że taka sugestia to „obrzydliwa urojeniówka”. I jeszcze: „Im częściej słyszę takie głosy, zastanawiam się, komu to służy, bo na pewno nie służy dzieciom, nie służy Polsce, nie służy odporności, natomiast na pewno służy lobby pornograficznemu. Bo dziecko, które będzie szukało informacji o edukacji zdrowotnej, o zdrowiu, o swoim dojrzewaniu, gdzie sięgnie, jak nie będzie mogło porozmawiać z rodzicem i nie dowie się w szkole: wbije coś w internet. I wtedy dowie się złych rzeczy”. A tak? Wbije tylko w internet – żeby kanarowi e-legitymację pokazać. Nie mamy w Polsce lobby konowałów psychologów czy psychiatrów, za to mamy lobby pornograficzne!

Dobrze, że nie mam dzieci, bo bym musiała się szarpnąć na edukację domową, a dalej na internat i prywatne liceum gdzieś daleko, daleko. Moja mama na przykład zwiała z liceum z internatem od Sióstr Nazaretanek w Kaliszu. Kalisz był widać za blisko, choć te kilka miesięcy, które tam mamusia spędziła, nim oznajmiła rodzicom, że się będzie chlastać – na wiele dekad uczyniło z niej wolnościową socjalistkę. Było ją wywieść, dziadziuś, do Szwajcarii! Droga powrotna dłuższa, a i bernardyny mają.

Teraz się dowiaduję, że funkcjonowała w Polsce bezpłatna edukacja domowa. I to nie wyłącznie dla dzieci, które nie mogą po prostu iść do szkoły, bo na przykład są niepełnosprawne. Od 2026 r. szkoły będą dostawały tylko pełną dotację na 96 uczniów objętych rzeczoną edukacją domową, a nie na 200 sztuk, jak było dotąd. Ministerstwo tłumaczy, że „nie chodzi o ograniczanie edukacji domowej, lecz o zapewnienie racjonalnego, sprawiedliwego i zgodnego z zasadą gospodarności podziału środków publicznych”. Dobra, przyznaję – uśmiecham się pod nosem. W 2023 r. z edukacji domowej korzystało 42 tys. dzieci. Dzisiaj jest ich pewnie jeszcze więcej.

Nauczyciele tłumaczą, że edukacja domowa to nie fanaberia, a konieczność w niektórych przypadkach. Ja bym twierdziła – mając przed oczami obraz polskiej szkoły – iż to nigdy nie jest fanaberia. Polska szkoła publiczna produkuje tępe, znerwicowane i chore na urojone kuku na muniu dzieciaki, których uczniostwo ogranicza się do obowiązkowego łażenia do szkoły, bo inaczej – wow, sankcje! Coraz większe sankcje dla wagarowiczów! Do tego testy, zero myślenia, system punktowy, który ciągnie się za tobą od kołyski aż po grób edukacyjny.

Tak sobie myślę, że może przestać się oszukiwać i ciąć kasę na publiczne szkolnictwo po całości? Jak Trump w Ameryce. I w ogóle sobie nie żartuję. Jeśli na coś naprawdę teraz Polaków nie stać, to na samooszukiwanie się. I niech silver fox pozostanie silver foxem!

IZABELA SZOLC

eprasa.pl 45ce44f7a0

Finał procesu piątki z Hajnówki

Zbrodniczy kubek zupy

2 września zakończyło się postępowanie dowodowe w procesie piątki wolontariuszy oskarżonych o pomoc migrantom na pograniczu polsko-białoruskim. Mowy końcowe należały do adwokatów, oskarżonych, prokuratury – i Ordo Iuris.

I tak, dobrze zgadliście: ta ultrakatolicka organizacja nie występowała w obronie ludzi, którzy po chrześcijańsku pomogli bliźniemu. Wręcz przeciwnie.

– Oskarżeni są to osoby, których działania są niebezpieczne – ogłosił reprezentant OI. W pełnej harmonii z oskarżeniem, które przedstawiło oskarżonych jako wrogów ojczyzny i narodu.

Oskarżyciel – w osobie Magdaleny Rutyny, która na ściganiu piątki dorobiła się awansu z asesora na prokuratora – wniósł o uznanie całej piątki winnymi „organizacji nielegalnego przekraczania granicy” i ukaranie ich karą 1 roku i 4 miesięcy więzienia.

Prokurator, którego poprosiliśmy o komentarz, wyjaśnia tę nietypową długość: – Karę można zawiesić, jeśli chcemy, do roku więzienia. Powyżej roku – odsiadka.

I dodaje, że dla przemytników migrantów wnosi się zwykle o 6, 8, góra 10 miesięcy pozbawienia wolności w zawieszeniu na 2 lub 3 lata.

– To jawnie przegięcie pałki w wykonaniu prokuratorki – ocenia nasz rozmówca.

Przegięcie prokuratorka uzasadnia dobrem państwa.

– Ich działanie miało charakter antypaństwowy i antysystemowy – grzmiała Rutyna. – To jest czas i miejsce, aby oskarżeni skonfrontowali się z konsekwencjami swoich działań, między innymi związanymi z destabilizacją bezpieczeństwa na wschodniej granicy.

Ewa Keczyńska-Moroz, jedna z oskarżonych, odpowiedziała własnym oskarżeniem wobec państwa.

– Liczyliśmy na nasze państwo, że przyjdzie i pomoże z rozwiązaniem, że zdejmie z nas obowiązek ratowania życia drugiego człowieka. W końcu robiło to zawsze, kiedy chodziło o ofiary wypadków lub niesprawiedliwości. Ale państwo zamknęło granice, wprowadziło strefę zamkniętą obejmującą ponad 180 miejscowości, wysłało żołnierzy, a w 2022 r. zbudowało pięciometrowy mur ze stali i drutu żyletkowego. Czas mijał, ale nie powstał żaden system realnego wsparcia, ani dla uchodźców, ani dla mieszkańców. W lesie z pomocą byliśmy tylko my, obywatele – mówiła. – A teraz państwo postawiło mnie przed sądem.

Keczyńska-Moroz przypomniała, że tylko w 2022 r. udokumentowano co najmniej 10 zgonów uchodźców po polskiej stronie granicy.

– Nigdy nie uwierzę, że nakarmienie głodnego to przestępstwo, że napojenie spragnionego to przestępstwo, że ogrzanie zmarzniętego to przestępstwo, że podzielenie się dachem nad głową to działanie kryminalne. Łączenie pomocy humanitarnej z przestępczością zorganizowaną to nie tylko fałsz, ale i krzywda wyrządzona nie tylko mi, ale też mieszkańcom, którzy w najtrudniejszej sytuacji starali się po prostu pozostać ludźmi. To celowe upolitycznianie i stygmatyzowanie lokalnych gestów solidarności, które poza kontekstem pogranicza byłyby tylko powodem do dumy.

To, co prokuratura nazwała „pomocą w nielegalnym pobycie”, było w rzeczywistości ratowaniem zdrowia i życia. Jeśli ratowanie zdrowia i życia staje się przestępstwem, to czym jest w takim razie obojętność?



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

– pytała Ewa. I tłumaczyła, jak szczególną wagę takie zwykłe człowieczeństwo ma właśnie na Podlasiu.

– Moje życie toczy się tu, gdzie doświadczenie puszczy jest codziennością, a gościnność wobec drugiego człowieka tradycją starszą niż jakiekolwiek granice. To tu, na mojej rodzinnej ziemi, we wrześniu 2021 r. stanęłam oko w oko z ludzkim cierpieniem. Nikt z nas na to, co zobaczyliśmy, się nie pisał. Wtedy, podobnie jak dziesiątki, a może i setki mieszkańców przygranicznych miejscowości, robiłam to, co podpowiadało mi serce. Podawałam rękę ludziom: obcym, zagubionym, skrajnie wyczerpanym. Widzieliśmy ich i wiedzieliśmy, że jeśli tego nie zrobimy, ktoś może umrzeć, nie doczekawszy poranka. Bo my, mieszkańcy Podlasia, wiemy, czym jest głód, strach i zimno, wiemy, ile znaczy kubek ciepłej zupy. Podlasie zawsze było pograniczem: tu spotykały się różne języki, religie, tradycje. I zawsze wiedzieliśmy, wierzyliśmy w jedno, że człowiek jest ważniejszy niż podziały.

– Stawiłam się na wszystkie rozprawy, wysłuchałam argumentów prokuratury, ale wciąż uważam, że ani ja, ani pozostali współoskarżeni nie zrobili nic złego. Po prostu nie byliśmy obojętni – zakończyła liderka antypaństwowej i antysystemowej szajki. – Jedyne, co mi zostaje, to nadzieja na sprawiedliwy wyrok wysokiego sądu.

Sąd Rejonowy w Bielsku Podlaskim (VII Zamiejscowy Wydział Karny w Hajnówce) w procesie, który ze względu na ogromne zainteresowanie mediów toczył się w o wiele większym gabarytowo Sądzie Rejonowym w Białymstoku, wyrok ogłosi 8 września.

JMP

Sierhej, ksywa Armageddon

Bąkiewiczowi urosła konkurencja na granicy

Bąkiewicz bis nazywa się Dariusz Sierhej. To, jak i sam Bąkiewicz, budowlaniec, a ponadto 43-letni zawodnik MMA i – jak go barwnie ostatnio opisał Piotr Głuchowski w „GW” – epizodyczny aktor filmowy.

Sierhej, mimo wspólnych celów, Bąkiewicza szczerze nie cierpi, albowiem podczas gdy ROG-om blisko do PiS-u, Sierhej zakochał się politycznie w Grzegorzu Braunie.

To jego grupę poprzebieranych za żołnierzyków mężczyzn z ponadprzeciętnym testosteronem i cokolwiek egzaltowaną nazwą „Fundacja Armageddon Bronimy Polskiej Granicy” europoseł próbował wprowadzić jakiś czas temu do sejmu. I to z nimi zrobił małą zadymę podczas lipcowej uroczystości w Jedwabnem, upamiętniającej Żydów spalonych żywcem w stodole.

Na profilu grupy na Facebooku od 9 sierpnia lata krótki film z akcji, którą szef MSWiA Marcin Kierwiński zainteresował się do tego stopnia, że próbował naciskać na podwładnych Waldemara Żurka (pisaliśmy o tym dwa tygodnie temu). Sierhejowcy bowiem po pościgu samochodowym capnęli przewoźnika z migrantami – miast poczekać grzecznie na pograniczników.

Kierwińskiemu marzą się w związku z tym zarzuty za podszywanie się nazioli pod funkcjonariuszy (art. 227 kk). Na filmiku nie ma jednak samego zatrzymania obcokrajowców, tylko moment, gdzie widać skutego od tyłu kajdankami mężczyznę i kilkoro innych siedzących na ziemi.

– Dariusz Sierhej dostanie zarzuty? – pytamy jednego z podlaskich śledczych.

– Nie. Jesteśmy prokuratorami, nie politykami. Tuska i jego bandę mamy w dupie.

– Ale to chyba wisi nad wami. Być może dostaniecie rozkaz na piśmie.

– To trzeba będzie wykonać. Będą przepychanki, jak w Gorzowie z zarzutami o znieważenie mundurowych przez Bąkiewicza. I śmiech w całej Polsce.

– Tych pojmanych przez ludzi Sierheja skuto kajdankami. To chyba idzie pod zarzuty prokuratorskie?

– Kajdankami skuła ich straż graniczna.

Po naszej rozmowie z prokuratorem okazało się, że sierhejowcy idą dalej za ciosem, bo 24 sierpnia wrzucili do sieci kolejny ruchomy obrazek z samowolnego zatrzymania na pograniczu polsko-białoruskim kolejnego niekatolika.

Marketing polityczny mają przy tym obcykany. Dzień wcześniej zwartą grupą z liderem na czele odnaleźli się we wsi Czerlonka w gminie Białowieża na uroczystości odsłonięcia pomnika Mateusza Sitka – woja, który dźgnięty ostrym narzędziem nie przeżył konfrontacji z migrantem. Sierhej zabrał tam nawet publicznie głos. Obok m.in. Jakuba Stefaniaka, wiceszefa Kancelarii Prezesa Rady Ministrów Donalda Tuska, osobistego wysłannika Władysława Kosiniaka-Kamysza, wicepremiera i ministra obrony. Jak równy z równym.

JMP



Rys. MARCIN CHUDZIK

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Jeżeli staliście w korku za kolumną czołgów, to dlatego, że w Polsce trwają – i potrwają do połowy września – manewry NATO. Ponad 30 tys. żołnierzy ruszyło w ramach fechtunku „Żelazny Obrońca-25”, obejmującego ziemię, morze, niebo i cyberprzestrzeń. Najnowsze Abramsy, koreańskie haubice i rakiety Chunmoo mają pokazać, że kiedy się bronimy, to aż strach pomyśleć, jak wyglądałby nasz atak. Na czele stoi 18. Dywizja Zmechanizowana w pełnym składzie, by sprawdzić, czy logistyka da radę przepchnąć pancerny korek przez pół kraju i nie zatkać przy tym mazowieckich dróg. Oficjalnie to tylko ćwiczenia. W praktyce prężenie mięśni i przestroga dla przeciwników, którzy w każdej chwili mogą stać się ofiarami. Tym bardziej że… zem z rezerwistami. Ćwiczenia, podobnie jak nasze, mają charakter „czysto defensywny”: najpierw defensywna ofensywa, potem ucieczka przed okrążonym przeciwnikiem, a na koniec – symulacja użycia taktycznej broni jądrowej w ramach samoobrony (oficjalnie ładunki konwencjonalne, ale wiadomo). Scenariusz obejmuje również blokadę korytarza suwalskiego – po to, by sprawdzić, czy NATO ma wystarczająco dużo cierpliwości, by postać w korkach. A wiadomo, że korki to najcięższa broń psychologiczna XXI w.

▮ Z drugiej strony frontowej granicy Sojuszu Północnoatlantyckiego, w dniach 12–16 września na Białorusi odbędą się manewry „Zapad 2025” – czyli wielka zabawa w „obronę przez atak”. Rosja i Białoruś zapowiadają skromne 13 tys. żołnierzy, ale wywiad NATO twierdzi, że szykuje się całe województwo moskiewskie, ra-

▮ Na polskie tory wjeżdża Leo Express – czeski przewoźnik, który od 1 marca 2026 r. uruchomi pociągi z Pragi przez Kraków aż do Warszawy. Bilety zaczynają się od 9 zł – czyli mniej niż kawa na dworcu, a już na pewno mniej niż opłata za miejscówkę w PKP Intercity. Na pokładzie Leo Express pasażerowie dostaną wi-fi 5G, kilka klas podróży i darmowy poczęstunek. Kontrast jest bezlitosny: czeski ekspres do Warszawy za 9 zł kontra Pendolino za 280, którego największą atrakcją jest strefa ciszy. Miejsce, gdzie nikt nie gada przez telefon, tylko wszyscy cierpliwie udają, że są szczęśliwi, bo jadą Pendolino. PKP poćwiczy zatem nowe patriotyczne hasło: „Drożej, bo nasze”.

▮ Wisła w Warszawie osiągnęła rekordowo niski poziom – zaledwie 7 cm na stacji Warszawa-Bulwary. To absolutny rekord w historii pomiarów IMGW. Królowa polskich rzek wygląda dziś jak zdychający rów melioracyjny. Promy w stolicy stanęły, woda gęstnieje od zanieczyszczeń. Eksperci ostrzegają: jeśli trend się utrzyma, Wisła może po prostu zniknąć z mapy kraju. A wtedy Polska przestanie być krajem nad Wisłą – co będzie miało doniosłe, także nazewnicze konsekwencje.

▮ W Polsce jest więcej psów niż dzieci. 8,5 mln wobec 7,2 mln. Od 2010 r. liczba psów wzrosła o 15 proc., a dzieci spadła o 8 proc. Dzieci przegrały też z kotami.

eprasa.pl 45ce44f7a0

Szlezjer twój wróg!

Raz, dwa, trzy – od dziś obcym będziesz ty.

Na Opolszczyźnie i w województwie śląskim mieszka około 5,5 mln osób. Według Narodowego Spisu Powszechnego z 2021 r. – narodowość śląską zadeklarowało 585 700 obywateli Rzeczpospolitej. To czyni śląskość najliczniejszą identyfikacją narodowo-etniczną w kraju, przewyższającą kaszubską – 176 900 osób. Spośród śląskich deklaracji 231 800 osób wskazało śląską jako pierwszą, a 353 900 jako drugą narodowość. Dziesięć lat wcześniej, w spisie z 2011 r., takich deklaracji było znacznie więcej – 847 tys. – co przypisywano m.in. wypowiedziom Jarosława Kaczyńskiego z tych czasów o „ukrytej opcji niemieckiej", które to słowa zmobilizowały mnóstwo ludzi do zamanifestowania swojej odrębności.

Folklor wyborczy

Statystyki te nie zmieniają jednak faktu, że śląskość pozostaje niewidzialna w polskim systemie prawnym. Państwo konsekwentnie odmawia jej statusu mniejszości etnicznej, a język śląski – mimo licznych prób – nie został uznany za język regionalny aż do wiosny 2024 r. Wtedy to sejm przyjął ustawę nadającą śląskiemu ten status, zrównując go formalnie z językiem kaszubskim. Na tym jednak sukces się skończył. Prezydent Andrzej Duda ustawę zawetował.

Monika Rosa, autorka projektu ustawy, nie ukrywała rozczarowania: „To, że udało się utrzymać język bez państwowego wsparcia, to zasługa tysięcy Ślązaków. Ale jeśli państwo nie pójdzie za głosem społeczeństwa, godka przestanie być językiem, a stanie się skansenem".

Bo sprawa uznania śląskiego za język regionalny była wcześniej w sejmie kilkukrotnie. W 2014 r. organizacje śląskie zebrały 140 tys. podpisów pod obywatelskim projektem ustawy o uznaniu Ślązaków za mniejszość etniczną. Projekt został odrzucony przez sejm w pierwszym czytaniu. W 2018 r. Rosa złożyła nowy projekt, tym razem ograniczający się do samego języka. Ten również trafił do zamrażarki.

Pisowski rząd nie ukrywał, że uznanie śląskiego budzi w nim niepokój. Oficjalne stanowisko Ministerstwa Spraw Wewnętrznych ostrzegało, że „uznanie etnolektu śląskiego za język regionalny **może uruchomić lawinę oczekiwań ze strony innych grup regionalnych, skutkując rozdrobnieniem wspólnoty narodowej". MSW sugerowało nawet, że „społeczeństwo RP mogłoby składać się wyłącznie z osób posługujących się odrębnymi językami, bez wspólnego języka narodowego".**



Ilust. PAWEŁ FERENC

Ślązacy wiedzieli zaś swoje. Piotr Długosz ze Stowarzyszenia Osób Narodowości Śląskiej zwracał uwagę, że samo uznanie języka nie wystarczy: „To półśrodek. Uznanie Ślązaków za mniejszość etniczną daje kompleksową ochronę – język, edukację, kulturę. Dziś dzieci mogą uczyć się godki, ale nie wiedzą po co. To musi być spójny projekt tożsamościowy, a nie folklorystyczny wybryk".

Ślązacy czują się więc pomijani – przez państwo, przez polityków, przez media. Nawet ugrupowania teraz rządzące, które obiecywały wsparcie, dziś odwracają od problemu wzrok. Na fali uniesienia patriotyczo-obronnego i strachu pospólstwa przed innymi i obcymi wspieranie śląskości stało się passé. A brak politycznych korzyści z zajmowania się sprawą śląską powoduje, że temat znika z debaty publicznej. I gdyby nie fundusze z Brukseli, Norwegii i Szwajcarii – nikt nie mówiłby dziś o żadnej śląskości. Godka byłaby jak wymarły język, o którym pisze się książki, ale którego nikt już nie używa.

Lawina separatyzmu

Ruch Autonomii Śląska, czyli RAŚ, powstał w 1990 r., początkowo jako nieformalne stowarzyszenie. Zarejestrowany został w 2001 r. i od początku głosił potrzebę przywrócenia przedwojennej autonomii województwa śląskiego. Nie chodziło o oderwanie się od Polski, lecz o samorządność w zakresie gospodarki, edukacji, kultury i podatków. Postulowano model podobny do niemieckich landów, gdzie region zarządza sobą w granicach federacji. Symbolem stała się rocznica z 15 lipca 1920 r. – uchwalenie Statutu Organicznego, który dawał Górnemu Śląskowi szeroką autonomię, z własnym sejmem, skarbem i kuratorium oświaty.

RAŚ organizuje coroczny Marsz Autonomii – kolorowy, rodzinny, nierzadko karnawałowy. Ale pod flagami w barwach Górnego Śląska kryła się poważna polityka. W 2010 r. RAŚ uzyskał trzy mandaty w sejmiku wojewódzkim. W 2014 r. – cztery. W 2018 r. nie zdobył żadnego. W międzyczasie RAŚ tworzył sojusze z PO, potem z KO, ale ich skuteczność malała. Lider Jerzy Gorzelik mówił wprost: „RAŚ jest potrzebny, ale inny niż kiedyś. Dziś nie chodzi o manifestację, lecz o budowanie trwałej reprezentacji, która zrozumie potrzeby nowego pokolenia".

W jednym z wystąpień Gorzelik podkreślił: „Nie chcemy zarządzać całym państwem. Nie interesuje nas Białystok czy Poznań. Chcemy decydować o Śląsku, o naszych problemach i naszym języku". Tę narrację powtarzają inni działacze – od Romana Gatyśa po Arnolda Langera, który mówił: „Nikt nie będzie nam mówić, kim jesteśmy. Mamy prawo mówić po śląsku, uczyć dzieci śląskiej historii i gospodarować naszymi podatkami u siebie, nie w Warszawie".

RAŚ przez lata przygotował konkretne projekty – w tym propozycję podziału wpływów z podatku VAT: 60 proc. zostaje w regionie, 40 trafia do budżetu centralnego. Argumentował, że województwo śląskie jest jednym z największych płatników netto do budżetu państwa i powinno mieć większy wpływ na wykorzystanie tych środków. Ale propozycje spotykały się z oporem coraz bardziej niechętnego – dzięki propagandzie PiS – społeczeństwa. Oskarżano RAŚ o separatyzm, o flirt z Niemcami, o podważanie polskości Śląska.

RAŚ prowadzi też działalność edukacyjną, wydaje publikacje, współpracuje z organizacjami regionalistycznymi z Europy Zachodniej – od Katalonii po Bretanię. Ale dziś jego siła polityczna jest nikła. Brakuje młodych liderów. Brakuje determinacji. A przede wszystkim – brakuje chęci słuchania po stronie państwa. Jak mówi Gorzelik: „W latach 90. regionalizm miał twarz prawicy. Bo centralizm był synonimem komunizmu. Dziś prawica postrzega regionalizm jako zdradę". A przecież to prawica nadaje dziś narrację polskości.

Polska dla?

To dlatego każde wystąpienie w obronie śląskości może być uznane za działanie wymierzone w integralność państwa. Fobia narasta. PiS i Konfederacja kreują atmosferę nieufności wobec „obcych". Najpierw byli „czarni" i „ciapaci", potem Ukraińcy. W każdej chwili może przyjść kolej na Ślązaków. Wystarczy jedno hasło o autonomii, by uruchomić lawinę oskarżeń o zdradę, separatyzm, rosyjską dywersję.

Najgłośniejszym przykładem tego w ostatnich miesiącach był Bartłomiej Wanot. Miał prowadzić zajęcia z języka śląskiego na Uniwersytecie Warszawskim. Uczelnia wycofała się z decyzji po odkryciu, że jak rasowy separatysta w mediach społecznościowych publikował wpisy gloryfikujące Stepana Banderę, naśmiewał się z rzezi wołyńskiej i wzywał do „powtórki na Śląsku". Sprawa wywołała burzę. UW błyskawicznie wydał oświadczenie: „Nie zatrudniamy osób szerzących mowę nienawiści".

Tymczasem w sieci krążą już inne postacie mające pokazywać prawdziwym Polakom, o co chodzi z tą śląskością – jak Dariusz Jerczyński i jego Śląski Ruch Separatystyczny. Który wzywa do niepodległości Śląska, publikuje mapy oderwanych województw i domaga się uznania Ślązaków za naród. To co prawda nisza. Ale propagandowo skuteczna. Bo dzięki niej każdy, kto mówi o śląskiej godce, trafia do jednego worka z radykałami.

Wobec takiego dictum umiarkowani działacze milkną. Boją się. Boją się oskarżeń, linczu medialnego, utraty pracy. To, co miało być dyskusją o języku i tożsamości, stało się sprawą bezpieczeństwa narodowego. Śląskość przestaje być alternatywą – staje się podejrzana. A kto mówi „godka", ten wróg.

TOMASZ BOROWIECKI

W kraju żyje ich 7,5 mln. Polska należy do europejskiej czołówki pod względem posiadania zwierząt – psa ma 49 proc. gospodarstw (drugi wynik w UE po Węgrzech), kota 41 proc. (drugi po Rumunii).

▮ W 2024 r. Polacy wydali na alkohol 50,3 mld zł – wynika z danych NielsenIQ. Najwięcej pochłonęło piwo (22,9 mld zł) i wódka (16,9 mld), dalej wino i whisky. Choć rachunek urósł, wcale nie piliśmy więcej. Sprzedaż piwa i wódki spadła. Wzrost wartości to głównie efekt drożyzny. Pod względem spożycia nie jesteśmy też już w absolutnej czołówce. Przeciętny Polak wypił 11,9 litra czystego alkoholu, co dało nam „dopiero" 6. miejsce wśród narodów Europy. Bardziej pijani od nas okazali się: Czesi (14,3 l), Łotysze (13,2), Mołdawianie (12,9), Niemcy (12,8) i Litwini (12,8). Możemy więc odetchnąć z ulgą: nadal nie jesteśmy Niemcami.

▮ Wiceministra sprawiedliwości Maria Ejchart potwierdziła, że w Zakładzie Karnym w Iławie dwóch osadzonych próbowało uciec, korzystając z prowizorycznych lin i haków. Jeden zaplątał się w drut kolczasty, drugi spadł podczas wspinaczki. Strażnicy szybko ich ujęli. Po zatrzymaniu doszło jednak do incydentu. Klawisz uderzył osadzonego w twarz. Dyrektor więzienia zawiesił strażnika i zgłosił sprawę do prokuratury. Ta go oskarży, sąd skaże i wsadzi. Więc następnym razem osadzeni będą uciekać już we trzech. Byleby znowu któryś nie dostał w mordę, bo historia lubi się powtarzać.

▮ W Zakopanem 44-letni obywatel – niestety – Ukrainy przyłapany został na kradzieży alkoholu w markecie. Podczas interwencji policyjnej był tak pijany, że zasnął na miejscu. Wezwano ratowników medycznych, a mężczyzna trafił za wykroczenie do szpitala. Tatrzańska policja przy okazji podała statystykę: najczęściej kradzione są alkohol i kosmetyki. No i bardzo dobrze, bo obywatel wie przynajmniej, co się najbardziej opłaca kraść. Państwo nie tylko pilnuje porządku, ale też dyskretnie doradza konsumentom.

▮ Jeżeli chodzi o wódkę, to nie służy ona również Bogusławowi L., znanemu lepiej jako Franz Maurer („Bo to zła kobieta była"). Maurer został oskarżony o nielegalne nagabywanie do konsumpcji wódki Bol... znaczy się „pewnej marki trunku". Więzienie Franzowi niestraszne – tam już bywał na ekranie, ale pół miliona złotych grzywny do zapłacenia to nie szczeniak, tylko mastiff gryzący po kieszeni.

▮ Krajowa Administracja Skarbowa znowu na froncie walki o bezpieczeństwo kraju w Lubuskim. Tym razem uratowała Polaków przed śmiertelnym zagrożeniem w postaci… 9 tys. pluszowych potworków Labubu. To takie puszyste laleczki o spiczastych uszach i uśmiechu jak z horroru. Labubu były fałszywe. Podróbki zapakowane w 39 kartonów i 9 worków jutowych wyceniono na 3 mln zł. Mafie VAT-owskie mogą spać spokojnie.

▮ Dawid Szóstak, kandydat Konfederacji i Ruchu Narodowego w wyborach 2023, zebrał raptem 529 głosów. Jego świat pełen narodowych symboli i wielkich ideologii runął jednak nie przy urnie. Zakochał się w Michalinie Manios, interpłciowej modelce, celebrytce i gwieździe „Top Model". Narodowiec, który przez lata składał raporty o budowaniu Wielkiej Polski, złożył raport o rezygnacji ze wszystkich funkcji. Oficjalnie „z przyczyn osobistych". Nieoficjalnie z powodu miłości, której nie da się wyczyścić nawet drutem kolczastym ideologii. Manios, która urodziła się jako hermafrodyta, skwitowała sprawę: „Miłość nie wybiera". I trudno się nie zgodzić, bo gdyby wybierała, to raczej nie wybrałaby faceta z wynikiem 0,1 proc.

▮ Polski kontratenor Jakub Józef Orliński został ambasadorem marki Rolex. Dołączył tym samym do elitarnego grona Rolex Testimonees, w którym znajdziemy wybitnych artystów i sportowców. To kolejne międzynarodowe wyróżnienie dla śpiewaka, który szturmem podbił największe sceny operowe świata. Ale to także wyróżnienie dla samego Rolexa – szwajcarskiej marki zegarków, słynącej z astronomicznych cen. Bo Rolex nie służy do tego, by wiedzieć, która godzina. On jest po to, żeby inni wiedzieli, która jest twoja pozycja w hierarchii społecznej. No a ja, kurwa, nawet Swatcha nie mam. Chlip, chlip!

▮ Pan prezydent Nawrocki zamierza, według dokumentów, w ciągu najbliższych dwóch lat przeżuć 15 ton mięsa i wędlin. Tak przynajmniej wynika z przetargu ogłoszonego przez Kancelarię Prezydenta na dostawy warte ponad pół miliona złotych. W strategicznym planowaniu apetytu ujęto m.in. 173 kg polędwicy wołowej i 125 kg gęsich nóg. Oczywiście prezydent nie będzie konsumował tego w samotności. Zapewne podzieli się z małżonką, dziećmi i całą kancelarią. A co zostanie, trafi do pojemników na bioodpady na Krakowskim Przedmieściu, gdzie być może skorzystają też warszawscy bezdomni.

▮ Od 1 września w Gdańsku nastały czasy suchych wieczorów. Władze miasta Danzig, w swej niezmierzonej trosce o obywatela, zakazały sprzedaży alkoholu po godz. 22. Nawet na stacjach benzynowych – a przecież to ostatni bastion wolności, gdzie człowiek mógł kupić czteropak i hot doga w środku nocy. Tak oto, w symbolicznej dacie, miejskie rządy odebrały nam niepodległość kulinarną i skazały na reżim ciszy nocnej.

▮ Na dożynkach w Ostrowach (woj. łódzkie), gdzie tradycyjnie dziękowano Bogu za plony ziemi, wydarzyło się coś, czego nie przewiduje żadna liturgia. Ktoś obrzucił miejscowego księdza mięsem. A właściwie nie jego samego, lecz jego ukochany samochód oberwał plastrami mielonki. Dobrze, że to była tylko mielonka. Bo gdyby ktoś sięgnął po suszonego penisa wołowego, wtedy mówilibyśmy już nie o wybryku chuligańskim, a o pełnoprawnej profanacji boskiego pojazdu.

RJ

PS Informacje przedstawione w niniejszym materiale pochodzą z prasy regionalnej, której dziennikarze mają skłonność do przyjmowania za prawdę każdego obrazu rzeczywistości, jaki w pierwszej kolejności dociera do ich zmysłów. Redakcja „NIE" oświadcza, że za wszelkie ewentualne omyłki wynikające z tej osobliwej praktyki percepcyjnej nie może ponosić odpowiedzialności – i nie ponosi. Zastrzeżenie należy traktować jako wyraz należytej staranności oraz ostrożności, wymaganych w demokratycznym państwie prawa.



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

eprasa.pl 45ce44f7a0

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ *Media zwalczające Kościół szczególnie upodobały sobie ojca Tadeusza Rydzyka.* ***Podtrzymują wymyśloną przez siebie etykietę o „Imperium ojca Rydzyka”, by zniechęcać do wspomagania tych, którzy wspierają dzieła powstałe w klimacie Radia Maryja. Bo przecież, „jeśli jest tak dobrze, to po cóż masz jeszcze i ty wspomagać”?***

dr hab. Janusz Kawecki, Radio Maryja, 29 sierpnia

■ *Zwracamy się do Was, Drodzy Rodzice wyznający katolicką wiarę, abyście głęboko rozważyli proponowane zajęcia z edukacji zdrowotnej i nie wyrażali zgody na udział swoich dzieci w tych zajęciach. (…) Program przedmiotu – w naszej ocenie – stanowi zagrożenie dla katolickiej wizji rodziny i małżeństwa oraz dojrzałości ludzkiej dzieci i młodzieży. (…) W programie znalazły się treści dotyczące tożsamości płciowej oraz kwestii prawnych i społecznych związanych ze środowiskiem LGBTQ+.* ***Wszystkie osoby zasługują na szacunek, ale ich wizja seksualności nie jest zgodna z nauką Kościoła. Proponowane treści mogą prowadzić do zniekształcenia obrazu kobiecości i męskości, a nawet powodować, że dziewczęta będą identyfikowały się jako chłopcy, a chłopcy – jako dziewczęta, w ich najbardziej wrażliwym okresie życia, w którym młody człowiek poszukuje własnej tożsamości (…). Niezwykle zaś łatwo jest wtedy skrzywdzić młodych ludzi i doprowadzić w konsekwencji do wielu zaburzeń.***

apel Komisji Wychowania Katolickiego Konferencji Episkopatu Polski, Warszawa, 27 sierpnia

■ *Chce się zmienić polską szkołę według instrukcji płynących z Brukseli po to, żeby Europa już nie była chrześcijańska i żeby Polska nie była chrześcijańska, i żeby zatraciła swoją tożsamość. Deprawacja ma iść od szkoły, a dzieci nie mają być wychowywane głównie przez swoich rodziców.* ***Dzieci mają być własnością państwa, które mniej lub bardziej oficjalnie ma być ateistyczne.***

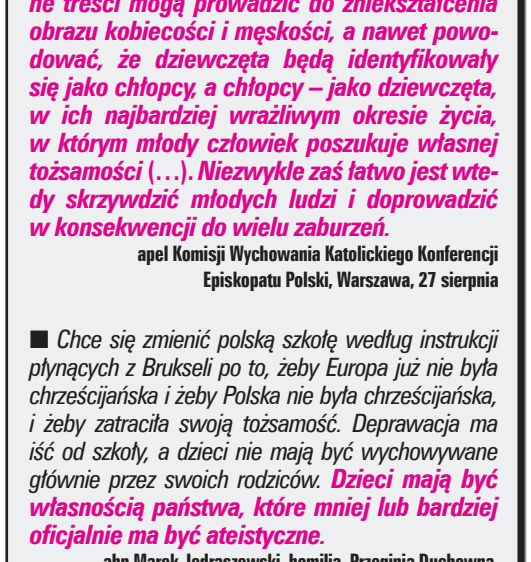
abp Marek Jędraszewski, homilia, Przeginia Duchowna, 26 sierpnia

■ *Przecież to od rodziców będzie zależało to, by zechcieli wypisać swoje dzieci z tych lekcji, tak zwanego „nauczania o zdrowiu”.* ***Podjęcie takiej decyzji i wyrażenie jej na piśmie jest to jakiś fakt bardzo osobisty, bardzo świadomy, bardzo odpowiedzialny, poprzez który wyraża się nasza troska o Kościół, o ojczyznę, o naród. Jest to nasz akt walki o Polskę w imię Najświętszej Marii Panny, naszej Matki Królowej.***

Jędraszewski cd.

■ *Katecheza i „edukacja zdrowotna” to przedmioty nieobowiązkowe.* ***Z tą różnicą, że jeśli rodzice dziecka chcą, aby dziecko chodziło na katechezę, to muszą je zapisać, a jeśli nie chcą, aby chodziło na „edukację zdrowotną” to muszą je wypisać. Gdzie tu logika?***

ks. Janusz Chyła, X, 27 sierpnia



Rys. MARCIN CHUDZIK

■ *Ten, kto głosi prawdę Bożą, nie musi obawiać się śmierci fizycznej, ale raczej odrzucenia społecznego i ataku na swoje dobre imię.* ***Pasterz Kościoła, który głosi w sposób integralny przykazania Boże, zwłaszcza dotyczące ochrony życia ludzkiego w każdej fazie jego rozwoju oraz małżeństwa jako „kanonu prawdziwej miłości między mężczyzną i kobietą (…)”, musi liczyć się z krytyką, niezrozumieniem, nieporozumieniami, a nawet oszczerstwami, które w oczach ludzi mają służyć podważeniu głoszonej nauki. Tak jak Jan Chrzciciel nie zatrzymał się w obliczu niebezpieczeństwa miecza kata, tak ci, którzy ponoszą odpowiedzialność za osoby i wspólnoty, nie powinni dać się zastraszyć negatywnymi reakcjami na prawdy mniej akceptowalne przez dominującą opinię publiczną.***

ks. abp Antonio Guido Filipazz, nuncjusz apostolski w Polsce, homilia, Archikatedra Warszawska, 29 sierpnia

KLECHA

Bóg odszedł,



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Tygodnik „NIE” rozmawia z prof. Tadeuszem Bartosiem – filozofem, byłym dominikaninem, który ostatnio wyspowiadał się ze swojego życia w wywiadzie rzece „Bóg odszedł z poczuciem winy”, przeprowadzonym przez Artura Nowaka.

– Rozmowę o panu zacznę od siebie. W najnowszej książce mówi pan o dialogu ateistów z katolikami: „Był taki rodzaj koncesjonowanej debaty. Siadali panowie i rozmawiali o dialogu ateistów z wierzącymi. I nie chodziło tu o dialog z kpiarzami z tygodnika »NIE«, bo oni są od natrząsania się z religii, a nie refleksji. Ale debata z odmiennymi grupami to już chyba przeszłość. Niewiele z tego wynikło. Pewne tematy pozostały tabu, bo starannie je pomijano”. Co pan do nas ma?

– Tygodnik „NIE” piórem i zamysłem założyciela, red. Urbana, sam sytuował się jako satyryczny. Za „moich czasów” parokrotnie rzeczywiście uczestniczyłem w takich debatach wierzący–ateiści, i po dwóch stronach widziałem gorliwców z ugruntowanymi przekonaniami, co nie sprzyja otwartej rozmowie. Zelotyzm dotyka nie tylko dewotów. Przez kpiarską formułę „NIE” można było wasz tygodnik ignorować, bo przecież nigdy nie wiadomo: oni tak poważnie czy znowu sobie jaja robią. W strefie wojny idei nie ma miejsca na ironię, wszystko jest śmiertelnie poważne.

– Przejdźmy zatem do najważniejszego wątku, czyli do pana profesora. Odszedł pan z zakonu prawie 20 lat temu. W liście pożegnalnym do współbraci pisał pan: „Nie będę już dominikaninem, choć w sobie zachowam to, co najdroższe mi w dominikańskiej wizji: poszukiwanie prawdy wszędzie, gdzie jej ziarna rozrzucone zostały po świecie. Prawda prowadzi niekiedy do rozstania, wszyscy bowiem jesteśmy w drodze. Jednak rachunek sumienia chcę robić tylko sobie”. Ile w panu pozostało zakonnika? Człowiek z zakonu wyjdzie, a zakon z człowieka?

– Nie mogę obiektywnie osądzić siebie, choć zajmuję się filozofią, mechanizmami instytucji totalnych i krytyką chrześcijaństwa. Trudno być sędzią we własnej sprawie, ale podejrzewam, że jest we mnie mnóstwo rzeczy z tego „chowu”. Zostałem wprowadzony w pewien styl życia, mentalność kościelną, klasztorną. To trochę jak u ludzi, którzy przeszli obowiązkową służbę wojskową i spędzili w jednostce dwa lata zaraz po wkroczeniu w dorosłość. To są ważne lata w życiu, mają charakter formujący, kształtujący. Często ci ludzie spotykają się po zakończeniu służby, przyjaźnie trwają całe życie. Podobnie nowicjat: pojawiają się koledzy, nieraz pierwsi i jedyni w dorosłym życiu. Czy zakon wychodzi z człowieka? Ciężko. Kłopot polega na tym, że kategorie myślenia, np. czym jest dobro i zło, prawda i fałsz, mamy wdrukowane przez chrześcijaństwo. Można być nawet wojującym ateistą albo niewierzącym zakonnikiem, ale wszyscy myślimy tak, jak zdefiniował świat chrystianizm. Dostrzegł to i opisywał Fryderyk Nietzsche.

– A gdy się fizycznie wychodzi z klasztoru i zakonu, to jak to jest?

– Zaczyna się życie od nowa. Trzeba znaleźć jakieś mieszkanie, pracę. Ja i tak mam szczęście, bo zrobiłem doktorat i habilitację z filozofii, więc udało mi się znaleźć zajęcie. Zabawne, bo po zrzuceniu habitu zadzwonił do mnie sympatyczny ksiądz i zapytał, co ze mną będzie. Wykładał w szkole wyższej w Pułtusku i porozmawiał z rektorem, a ten się zgodził mnie zatrudnić. W ten sposób ta jedna podstawowa troska odeszła. Udało mi się znaleźć pracę i stabilizację, co nie dla wszystkich odchodzących jest oczywiste. Zakonnik lub zakonnica po czterdziestce czy pięćdziesiątce myślą: a gdzie ja pójdę w tym wieku? Tkwią w tym dalej, to jedyny znany im świat. Perspektywy zatrudnienia gdzie indziej są mgliste. Trochę jak z byłym więźniem. Niby przeszedł resocjalizację, ale nie jest szczególnie pożądanym pracownikiem. Kler zatem to grupa ludzi głęboko nieszczęśliwych, o ile traktują życie i swoją drogę poważnie. Odejścia są potępiane. Stajesz się pariasem, żyjesz z piętnem zdrajcy, słabeusza, który nie dorósł do swojego powołania.

– Opuszczał pan zakon w 2007 r. To była zupełnie inna Polska, inna pozycja Kościoła w Polsce. Dopiero co umarł Jan Paweł II, w mediach kler był przyjmowany na kolanach. Odejścia pana oraz dwóch innych profesorów: Obirka i Węcławskiego (dziś używającego nazwiska Polak) odbiły się szerokim echem i zapewne wymagały większej odwagi niż dzisiaj.

– Rzeczywiście, nasze odejścia były głośne i dyskutowane, przetarły pewne szlaki. Obirek był pierwszy. Większość przypadków porzucenia kapłaństwa czy zakonu odbywa się jak w tytule książki Marty Abramowicz „Zakonnice odchodzą po cichu”. To na rękę Kościołowi, bo po co łechtać ego zdrajcy, on ma być potępiony, a nie wynoszony na piedestał. Ale czy dzisiaj jest łatwiej? Czytałem ostatnio w „Dużym Formacie” reportaż o zakonnicy, która po opuszczeniu zgromadzenia jeździ na taksówce. W habicie dyrektorka szkół, elita; w cywilu szary pracownik za kółkiem. Próbowała, zgłaszała się do przedszkoli, które poszukiwały dyrektorki. Wszyscy byli zachwyceni wykształceniem i doświadczeniem, ale na wieść, że była zakonnicą, podziękowali. Więc ta klątwa działa. Pracodawcy wolą nie ryzykować i na wszelki wypadek nie zatrudniają eksów, żeby sobie nie napytać biedy. Nie ma otwartej presji na pracodawców, ale oni wyprzedzająco unikają takiego balastu. W przypadku Obirka było inaczej, bo o to, żeby nigdzie nie znalazł roboty, dbał sam Dziwisz, osobiście dotknięty krytyką Jana Pawła II w wydaniu tego eksjezuity. Węcławski miał z kolei w świecie naukowym taką pozycję – i etat na uniwersytecie – że nie mogli go się ot, tak pozbyć.

Saga o Chmielewskich

Dominik

Wojownik Maryi szuka pochwy na miecz

Zaskoczenie roku: salezjanin Dominik Chmielewski, założyciel i były przywódca Wojowników Maryi, oskarżony o nadużycia względem kobiet. Ostatnią tak wielką niespodzianką było to, że po poniedziałku przyszedł wtorek.

Uwiedzenie Agaty

„Wyborcza” opublikowała reportaż „Do Jezusa przez łóżko”, opisujący relację Chmielewskiego z kobietą, na potrzeby tekstu nazwaną Agatą. Skarży się ona, że została uwiedziona przez charyzmatycznego duchownego, a ten ją wykorzystał i porzucił. Z artykułu wynika, że takich kobiet w życiu księdza było więcej i że wiedza o tym nieobca jest jego przełożonym ze zgromadzenia zakonnego. Dominik Chmielewski nie dowodzi już Wojownikami Maryi, został odwołany z funkcji moderatora tej grupy w marcu 2023 r. Salezjanie twierdzili wówczas, że „jest to całkowicie naturalna procedura w zakonie”, a Chmielewskiemu zostały powierzone nowe obowiązki, m.in. zorganizowania ośrodka rekolekcyjnego. Jego talent organizatorski jest bardzo doceniany, a teraz okazuje się, że nie mniej sprawny był w organizowaniu sobie ruchania.

Tak naprawdę za wiele z tekstu Piotra Żytnickiego nie wynika – poza tym, że popularny ksiądz wdał się w romans ze swoją „groupie”. Z perspektywy czasu rozczarowana kochanka spostrzegła, że uwodziciel w sutannie zachował się wobec niej nie fair, i może to być nawet sprawa dla prokuratury. Obietnice wspólnego życia z księdzem nie zostały spełnione, a w dodatku składał je nie tylko jej, co wzmogło poczucie zdrady. Pełnomocnik bohaterki artykułu, znany skądinąd mec. Artur Nowak, złożył zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa nadużycia stosunku zależności w celach seksualnych.

Sytuacja z grubsza wygląda tak: rozwódka po trzydziestce zakochała się w księdzu, czy też – co ma ponoć zasadnicze znaczenie – on rozkochał ją w sobie. Wspólne modlitwy, długie rozmowy, prezenty (m.in. 2 tys. zł i kapelusz kowbojski); nic, czego – może poza modlitwą – nie byłoby w standardowej procedurze podrywu. Duchowny trafił na podatny grunt, bowiem kobieta nie mogła sobie znaleźć miejsca w świecie.

– Mój mąż nie odciął od matki pępowiny. Biegał po nią, gdy się kłóciliśmy. Potem ja kłóciłam się z nią, a on się przyglądał. Wszyscy byli tam przeciwko mnie. Przestałam jeść, byłam na skraju anoreksji. Nie miałam siły wstać. Pan Bóg dał mi warunki do ucieczki. To było bolesne, ale wiedziałam, że pan Bóg nie chce, żebym cierpiała – zwierzyła się redaktorowi „GW”. Ten zaś uzupełnia: „Z własnymi rodzicami też nie ma łatwych relacji. Nie potrafi im wybaczyć, że miała się nie urodzić, bo rozważali aborcję”.

Zemsta zdradzonej

Nie wypada stawiać diagnoz na podstawie jednego akapitu, ale „Agata” nie wychodzi na tym obrazku na osobę łatwą we współżyciu. Chujowy mąż, chujowi rodzice, a ona zasługuje przecież na coś lepszego. Trafiła się solidna partia – jeden z popularniejszych księży w Polsce. W końcu ktoś na jej poziomie. Przystojny, wysportowany, wygadany, uwielbiany. Klecha szybko odczytał deficyty rozwódki, a potem to już poszło z górki. Teraz ona robi byłemu kochankowi pod górkę. Ten z kolei musiał wiedzieć, co się święci, bo zawczasu poinformował zwierzchnictwo, że może być draka, a w kazaniach zaczął mówić o słabościach księży. Wyprzedził atak i przygotował swoich fanów na kryzys wizerunkowy. Co do jego poczynań i nauczania episkopat i tak miał wątpliwości, więc przełożeni zdjęli Chmielewskiego z pierwszej linii, choć nadal jeździł po Polsce i głosił rekolekcje, bo stawki zapewne miał gwiazdorskie, a pieniędzy w zakonie nigdy za wiele. Teraz wszczęte zostały wewnętrzne procedury, więc na jakiś czas musi przerwać trasę koncertową.

Nie mamy tutaj do czynienia z pedofilią, nie było gwałtu, „Agata” technicznie opisuje, że „w ciągu pół roku między nią a księdzem doszło do kilkunastu kontaktów oralnych. Pełnego współżycia nie chciała, choć Chmielewski pytał ją, czy prowadzi kalendarzyk”.

„Byłam zakochana” – czytamy w reportażu, od którego wszystko się zaczęło. „Ale radziłam sobie coraz gorzej. Sumienie mnie dręczyło, bo wiedziałam, że taka relacja z księdzem nie jest normalna” – zwierzała się red. Piotrowi Żytnickiemu. Salezjanie wydali oświadczenie, w którym potępiają prowadzenie się druha, jednocześnie zarzucając jego kochance, że jej opowieść jest nieco naciągana. Chmielewski złamał celibat, wiódł życie „Tulipana” w sutannie, co musiało się skończyć skandalem, ale zbrodniarzem nie jest.

Salezjanie zauważają, że wprawdzie do przestępstwa ich zdaniem nie doszło, ale „należy podkreślić, że relacja, do której doszło między księdzem Dominikiem Chmielewskim a bohaterką publikacji, bez wątpienia naruszyła normy moralne oraz zasady życia zakonnego obowiązujące w Zgromadzeniu Salezjańskim. Fakt ten został jednoznacznie oceniony jako naganny. Ksiądz Dominik Chmielewski



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

eprasa.pl 45ce44f7a0

kler został

– Jak to przebiegało: najpierw stracił pan wiarę w dogmaty czy w instytucję?

– Najpierw dowiadywałem się, jak funkcjonuje instytucja, zdobywałem wiedzę, jak funkcjonują grupy manipulacyjne. Paradoksalnie to u dominikanów powstało Centrum Informacji o Nowych Ruchach Religijnych i Sektach. Przyglądałem się ich oraz innym opracowaniom i dochodziłem do wniosku, że to, przed czym przestrzegają, znaleźć można także w naszym zakonie. Jest przywódca, jest uporządkowane życie, jest ograniczenie kontaktów ze światem zewnętrznym – no idealny przykład ilustrujący broszurki ostrzegające przed sektami. Złodziej krzyczy: łapać złodzieja! Amerykański socjolog Erving Goffman w swojej książce „Instytucje totalne" opisywał jako przykłady takich instytucji więzienie, szpital psychiatryczny i właśnie klasztor. Takie lektury pozwalały mi zobaczyć w nowym świetle miejsce, w którym się znalazłem. Do tego doszła historia religii i Kościoła, kwestia historyczności Jezusa, co z kolei zasiało wątpliwości co do katolickiej doktryny. Ta dziecięca, wyniesiona z domu rodzinnego wiara znikła, bo nie dało się jej utrzymać, zwłaszcza będąc tak głęboko w tym systemie. Wszystko okazało się wielką mistyfikacją. Sprawnie i skutecznie przeprowadzoną mistyfikacją, która uwiodła całą cywilizację.

– Czy w klasztorach są w ogóle ludzie wierzący poza nowicjuszami?

– Ludzie to złożone istoty. Pewnie niektórzy chcą zachować tę dziecięcą wiarę. Jednocześnie widzą rzeczywistość: jedni więc popadają w totalną dewocję, oddzielają się od świata, operują religijnym slangiem i zaklinają nim rzeczywistość; inni zmagają się, aż w końcu odchodzą. By zostać, trzeba się adaptować, dostosować. Pewnie jest wiele takich strategii adaptacyjnych. Większość kleru, zwłaszcza diecezjalnego – o czym wiem z drugiej ręki – traktuje to jak normalną robotę. Uznają, że jest, jak jest, nie ma dokąd iść, więc trzeba pracować i nie ma się co za bardzo przejmować. Ich to mniej kosztuje, bo praca w parafii ma inną specyfikę niż życie w zakonie. Wystarczy pobożnie odprawiać mszę, mówić uduchowionym głosem, wypowiadać się jak autorytet na każdy temat, nawet jeśli się nie ma o nim zielonego pojęcia. Choćby to było wyuczone i sztuczne – ta specyficzna klesza maniera w głosie i zachowaniu – to jest pożądane i nikt nie ma pretensji do takiego księdza. A po robocie hulanki i swawole. Istotą chrześcijaństwa jest udawanie, obłuda. Opowiadanie o wartościach i zaprzeczanie słowom czynami leży u podstaw tej religii. Chrześcijaństwo nienawidzi wszystkiego, co autonomiczne, wolne, spontaniczne. Wszystkich bierze w rygor poczucia winy, oskarżania siebie i innych – patologia jednym słowem. Ksiądz – dobry aktor to duchowny idealny.

– Myśli pan, że zniesienie celibatu coś by zmieniło na lepsze?

– Celibat jest takim wymogiem dyscyplinarnym, który czyni z księdza niewolnika biskupa i papieża. W każdej chwili można go przenieść na zapadłą dziurę i nikt nie mrugnie okiem w jego obronie. Życie i kariera są ściśle zależne od kaprysu przełożonych. Gdyby duchowny miał rodzinę, sprawa byłaby utrudniona, bo żona mogłaby protestować: trzeba dzieci przenosić do innej szkoły, przewozić cały dobytek itd. Celibatariusze są skoszarowani, 24 godziny na dobę należą do instytucji, nie mają azylu domowego. Celem kasty kleru jest przetrwanie samo w sobie, przetrwanie i ekspansja, do czego celibat jest idealnym narzędziem. Gdyby go znieść, ten system władzy i kontroli mógłby się rozpaść. Wreszcie jest to bezpieczna przystań dla licznie reprezentowanej w tych szeregach grupy gejów, wzajemnie wspierających się w karierze.

– Właśnie, sporo refleksji poświęca pan w książce gejom w strukturach kościelnych. Nie boi się pan oskarżeń o homofobię?

– Wytworzył się cały system promocji i pchania w górę według klucza orientacji. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu homoseksualiści uciekali do seminariów, aby uniknąć pytań o żonę i móc spokojnie wieść życie uczuciowe i seksualne z kolegami, a przy okazji żyć niebiednie. W książce Martela „Sodoma" ten proceder ukazany jest na szczytach władzy Kościoła. Zwierzali mu się rzymscy kardynałowie, biskupi i księża należący do „parafii", czyli praktykujący geje. Im wyżej w hierarchii, tym więcej gejów – twierdzi autor „Sodomy", sam homoseksualny, więc trudno zarzucić mu nienawistne zamiary. W gruncie rzeczy w Watykanie siedzą nieszczęśliwe chłopy w różnym wieku, ukrywający pod płaszczykiem pobożności swoje pragnienia i grzechy.

I tu nie chodzi o homofobię, ale o gigantyczne zakłamanie tych ludzi. Bo właśnie im bardziej homofobiczny w gębie jest duchowny, tym większa pewność, że sypia z facetami. Nie można przechodzić wobec tego obojętnie, bo Kościół to nadal wpływowa instytucja, także w Polsce.

– Pokutuje postawa jakiejś dziwnej wdzięczności dla Kościoła jako nosiciela polskości i Bóg wie co jeszcze. Mafia kryjąca pedofilów wypowiada się na tematy moralne i wszelakie, chce układać ludziom życie. To lobby nadal jest w naszym kraju przepotężne i nikt nie ma dość odwagi, żeby to ukrócić.

– To chyba znaczy, że jest społeczne przyzwolenie, skoro naród nie wymaga od rządzących rozwiązania tej kwestii.

– Istnieje pogląd, że trawi nas ta mentalność katolicka, bo w Polsce nie było oświecenia. Dlatego mamy wdrukowane religijne myślenie, determinujące nawet ateistów. Adam Michnik czy jego mentor Leszek Kołakowski uznali, że chrześcijaństwo jest nam potrzebne, bo bez niego ludzie się rozbisurmanią. Michnik to inna epoka, inna biografia, inne doświadczenia. Wejście w III RP odbyło się ramię w ramię z Kościołem, który w PRL był ostoją dla opozycjonistów, nie tylko wierzących, i miał jakąś propozycję intelektualną oraz estetyczną. Sam uległem temu urokowi jako dziewiętnastolatek i poszedłem do zakonu. Dziś z tezą o niezbędności katolicyzmu dla ocalenia ładu społecznego w naszym kraju się nie zgadzam – nie ma wystarczających podstaw, by twierdzić, że wyznawanie jakiejkolwiek religii jest gwarancją moralności. Ludzi przed popełnianiem przestępstw powstrzymuje dobrze skonstruowane i egzekwowane prawo, a co za tym idzie – nieuchronność kary. Widać to na przykładzie nakazu o przepuszczaniu pieszych na przejściu. Ludzie z zagranicy zachwycają się, jakim to kulturalnym narodem jesteśmy, bo kierowcy tak uważnie sprawdzają, czy czasami ktoś nie chce przejść przez jezdnię. Tymczasem nie ma to przecież nic wspólnego z kulturą czy tym bardziej moralnością, a jedynie z obawą przed nieuchronnymi surowymi karami.

– Jaka jest recepta, żeby uzdrowić inne obszary naszego funkcjonowania jako państwo i społeczeństwo?

– Nie jestem lekarzem ani praktykiem politycznym, od tego są inni. Ale coraz bardziej mi się podoba hasło „skończmy z katolicką okupacją Polski", bo to, co kler robi, nosi wszelkie znamiona nadzoru właścicielskiego nad naszą ojczyzną. Okupacja – przejęcie na własność nie swojego; hasło jest nośne, zawiera w sobie całość tego, z czym mamy do czynienia. Przecież nie możemy powiedzieć o polskich politykach, że są tępi, ciemni i bezwolni. Ale ten system nie pozwala im na swobodę działań. Ileż to już słyszeliśmy zapowiedzi, nawet od Tuska, że nie będą klękać przed biskupami. Na deklaracjach się kończy. Boją się tego tknąć, nawet nie dlatego, że są lękliwi, to jest kwestia kalkulacji politycznej. Są ruchy w edukacji, nieznaczące. Ale żeby np. wypowiedzieć konkordat, to możemy sobie pomarzyć. Ten rozbój w biały dzień – różne Rydzyki i inni ssący kasę, ustawiający polityków do pionu – nadal trwa. Panuje u nas mętna doktryna „przyjaznego rozdziału" Kościoła rzymskokatolickiego i państwa. W praktyce oznacza to uprzywilejowanie tego wyznania. Inne związki wyznaniowe nie mogą liczyć na taką miłość, ani nawet na równe traktowanie przez państwo. Nie ma przecież przyjaznego rozdziału ze świadkami Jehowy czy buddystami. Nie ma komisji wspólnej rządu i biskupów luterańskich. Dopóki nie wyrwiemy się spod katolickiej okupacji, nie mamy szans na nowoczesne państwo. Choć to tylko warunek konieczny, lecz niewystarczający.

Rozmawiał
ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

Prof. Tadeusz Bartoś (ur. 1967) – filozof, profesor Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie. Zajmuje się problemami filozofii kultury i ewolucji metafizyki, historii oddziaływania tekstów filozoficznych, historii myśli filozoficznej i religijnej średniowiecza.

przyznał się do błędu, wyraził skruchę i podjął ustaloną z przełożonymi pokutę".

Zawojowani

Prywatne przeboje i podboje Chmielewskiego mają plotkarski powab, ale

ten heteroseksualny don-żuan w sutannie ma na sumieniu więcej mężczyzn niż kobiet. Wojownicy Maryi to niewątpliwie groźniejszy społecznie fenomen niż erotyczne perypetie salezjanina. Odwołująca się do symboliki i praktyki militarnej formacja zrzesza pozostawionych samych sobie chłopów,

dla których nikt nie ma ciekawszej i pożyteczniejszej propozycji. Często są to ludzie walczący z nałogami lub po wczasach w zakładach karnych, skreśleni przez społeczeństwo. Praktyki religijne połączone ze sportem (zwłaszcza siłownią), podlane patriotycznym sosem, stanowią atrakcyjną ofertę dla mężczyzn, którzy nie mają dokąd pójść. Można się podśmiewać albo biadać nad „brunatną falą" zalewającą Polskę, ale to Chmielewski i jemu podobni umieją zorganizować tych chłopaków i wyznaczyć im cele w życiu. To, że ich guru wyrywa dupeczki – a właściwie same na niego lecą – raczej nie umniejsza mu w ich oczach; wręcz przeciwnie, czyni go jeszcze lepszym wzorem do naśladowania i symbolem męskości.

Dla reszty wielbicieli tego księdza tekst „Wyborczej" wpisuje się w cykl ataków na świętych kapłanów, takich jak Piotr Glas (siedzi w Anglii za pedofilię) czy Michał Olszewski („Salceson", zamieszany w aferę z Funduszem Sprawiedliwości). Krytykę aktywności Dominika Chmielewskiego zaczęto dosłownie od dupy strony.

MATT KOBOSKO

Małgorzata

Nie będzie siostra pisowcowi bratem

Nawet habit nie zawsze chroni przed prawicowym hejtem. Osoba nosząca strój duchowny musi tańczyć tak, jak jej dziarscy chłopcy zagrają, inaczej immunitet nie obowiązuje. Na fali popularności Karola Nawrockiego wzrosła u nich pewność siebie, tak że rozdzielają już nie tylko stołki w przyszłym rządzie i spółkach, ale także obywatelstwa i legitymacje katolika.

Przekonała się o tym Małgorzata Chmielewska – nosząca habit zakonny, tytułująca się i tytułowana „siostrą" członkini i przełożona polskiej odnogi Wspólnoty Chleb Życia, zajmującej się pomocą chorym i ubogim. Chmielewska działa publicznie od lat 90., gości w mediach i świątyniach, dotychczas jej działalność nie budziła większych kontrowersji, a raczej ocieplała wizerunek Kościoła kat. Pokazywana jako osobliwy okaz w tej instytucji, który żyje tym, czego uczył Jezus. Siłą rzeczy nie może się cieszyć sympatią pisowców, którzy „wartościami chrześcijańskimi" tylko wycierają sobie gębę.

Sygnałem do ataku był list Chmielewskiej, który skierowała do Nawrockiego po tym, jak zawetował ustawę o pomocy Ukraińcom. Ponieważ trwa miesiąc miodowy prezydenta, wszystko, co nie jest hołdem dla niego, pisowcy traktują jak bluźnierstwo, a miejsce bluźniercy jest w piekle. Małgorzata Chmielewska od lat pomaga uchodźcom i imigrantom w myśl ewangelicznej zasady „byłem przybyszem, a przyjęliście mnie". Prawicowcy nie mogą się przyzwyczaić do myśli, że znajdują się idioci, którzy te idealistyczne pierdolety traktują dosłownie, a nie zgodnie z wykładnią Jędraszewskiego. Tak jak z aborcją: chodzi o to, żeby nie skrobać i rodzić. A taka Chmielewska adoptowała kilkoro niepełnosprawnych dzieci, stając się oprócz siostry matką. Kto to słyszał?! Obrona życia trwa przecież tylko od poczęcia do narodzin.

Siostra Małgorzata napisała do głowy państwa, że „żadne względy: polityczne, ekonomiczne ani moralne nie uzasadniają tego, co się stało. Gra najsłabszymi jest hańbą dla mojej Ojczyzny".

Zaprosiła też lokatora Belwederu na spotkanie z jej podopiecznymi, by powiedzieć: „spadaj, mały, spadaj, starcze, skąd przyszedłeś. Nie stać nas na ciebie, jesteś nieprzydatny, a że urodziłeś się pechowo gorzej, to nie nasz problem".

Pisowcy przystąpili do swojej ulubionej zabawy, czyli lustracji. Za cel postawili sobie uświadomienie społeczeństwa, że Chmielewska nie jest prawdziwą zakonnicą i nie można tytułować jej „siostrą". Swój list otwarty skierował do niej Michał Woś, były wiceziobro.

„Posługiwanie się habitowym autorytetem Kościoła, by wspierać postulaty stojące w sprzeczności z jego nauczaniem, to wprowadzanie opinii publicznej w błąd" – napisał. Wtórował mu Błaszczak, który w wypowiedzi dla TVN24 wyzłośliwiał się, że z Chmielewskiej taka sama zakonnica jak z Owsiaka.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Krucjatę przeciwko samozwańczej mniszce prowadzi jedna z najobrzydliwszych postaci polskiej polityki, Dariusz Matecki. „Małgorzata Chmielewska nie jest siostrą zakonną. Nie należy do żadnego katolickiego zgromadzenia,

a mimo to w mediach – zwłaszcza tych środowiskowo lewicowych – regularnie bywa przedstawiana jako „siostra". (…) To świadome żerowanie na autorytecie Kościoła, by uderzać… właśnie w Kościół oraz w ludzi wiernych polskiej tradycji" – demaskuje poseł. Chmielewska w habicie nie jest dla Mateckiego zakonnicą, ale już Mejza w płaszczu z herbem JP2 jest najprawdziwszym rycerzem i pomaga dzieciom skuteczniej niż pseudosiostra.

Z punktu widzenia prawa kościelnego pisowcy mają trochę racji, ale jak zwykle trochę. Wspólnota Chleb Życia nie jest zatwierdzonym zgromadzeniem zakonnym i działa jako fundacja, której Małgorzata Chmielewska jest prezeską. W strukturach kościelnych funkcjonuje jako stowarzyszenie wiernych, a statut zatwierdził nieżyjący prymas Glemp. Zgodę na działalność wspólnoty pod wodzą Chmielewskiej wyrazili m.in. kardynałowie Nycz i Dziwisz, nawet propisowski abp Dzięga dał błogosławieństwo. Ale Matecki zawsze wie lepiej. Równie dobrze mógłby zabronić księżom zwracania się do ludzi per „bracia i siostry" na kazaniach. Dzięki niemu przynajmniej wiemy, że miłość bliźniego uderza w Kościół, co – nie chwaląc się – od dawna podejrzewaliśmy.

MATT KOBOSKO

eprasa.pl 45ce44f7a0

From the river to the sea...

Izrael ma na świecie coraz bardziej do tyłu

Prezydent Francji Emmanuel Macron zapowiedział, że podczas wrześniowej sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ oficjalnie ogłosi uznanie Państwa Palestyńskiego. Podobną deklarację złożył kanadyjski premier Mark Carney. W ten sposób liczba państw uznających palestyńską państwowość wzrosłaby do 148 spośród 193 państw członkowskich ONZ.

Większość za

W reakcji na zbójeckie poczynania Izraela w strefie Gazy do krajów uznających Palestynę w ubiegłym roku dołączyły kolejne państwa – Słowenia, Armenia, a także Irlandia, Hiszpania i Norwegia.

MSZ Armenii wprost uzasadniło decyzję sprzeciwem wobec izraelskiej przemocy wymierzonej w ludność palestyńską. Podobną argumentacją posłużono się w Słowenii. Minister spraw zagranicznych Tanja Fajon stwierdziła, że uznanie państwa palestyńskiego potwierdza reputację Słowenii jako państwa przestrzegającego prawa międzynarodowego oraz rezolucji ONZ. Decyzję o uznaniu podjął parlament przy sprzeciwie opozycji. Ponadto Słowenia wprowadziła embargo na dostawy broni do Izraela.

Decyzję Irlandii, Hiszpanii i Norwegii skomentował dyrektor generalny izraelskiego MSZ, Jaakov Blitsztein, który pogroził poważnymi konsekwencjami w relacjach, a także zapowiedział, że utrudni ona zawarcie porozumienia co do uwolnienia przetrzymywanych przez Hamas izraelskich zakładników. Jaki jest związek między losem zakładników i uznaniem państwa palestyńskiego, nie wyjaśnił.

Dla władz Izraela kontynuowanie niszczycielskiej wojny jest ważniejsze niż utrzymywanie dobrych stosunków z sojusznikami.

Dla Netanjahu liczą się tylko relacje ze Stanami Zjednoczonymi – i dopóki będzie wsparcie lub przynajmniej przyzwolenie ze strony Waszyngtonu, to będzie można nadal bezkarnie popełniać zbrodnie wojenne.

Macron uznanie Palestyny uzasadniał pilną koniecznością zakończenia wojny w Gazie i zapewnienia pomocy jej mieszkańcom. Zaznaczył też, że decyzja nie jest podyktowana emocjami. Macrona wsparł hiszpański premier Pedro Sánchez, mówiąc, iż „wspólnie musimy chronić to, co Netanjahu stara się zniszczyć".

Jest całkowicie zrozumiałe, że manewr francuskiego prezydenta zyskał uznanie w Palestynie. Wiceprezydent Autonomii Palestyńskiej Hussein Al-Sheikh stwierdził, że świadczy on o francuskim poparciu dla „prawa narodu palestyńskiego do utworzenia własnego niepodległego państwa". Również Hamas nazwał ją „krokiem w dobrym kierunku na drodze do sprawiedliwości wobec narodu palestyńskiego" – podkreślając jednocześnie swoje „niekwestionowane prawo" do stawiania oporu i posiadania broni, dopóki w pełni suwerenne niepodległe palestyńskie państwo nie powstanie.

Z kolei MSZ Arabii Saudyjskiej wzywa inne państwa do podjęcia – wzorem Francji – „pozytywnych działań wspierających pokój i prawa należne narodowi Palestyny". Premier Irlandii Simon Harrison wyraził przekonanie, że podobną decyzję podejmą też inne kraje. O uznanie państwa palestyńskiego apelował też premier Norwegii Jonas Gahr Støre.

Na tym jednak nie koniec. Francuskie MSZ opublikowało oświadczenie 15 państw wyrażające nie tylko gotowość oficjalnego uznania Palestyny, lecz także nawołujące kraje członkowskie ONZ do podjęcia takiej samej decyzji. Oprócz państw, które już uznały palestyńską państwowość – Francji, Hiszpanii, Kanady, Malty, Norwegii i Słowenii – oświadczenie podpisały resorty spraw zagranicznych Andory, Australii, Austrii, Finlandii, Islandii, Luksemburga, Portugalii, Nowej Zelandii i San Marino. Oświadczenie zawiera także potępienie ataku Hamas na Izrael 7 października 2023 r., wymierzone w koronny argument Izraela – jakoby uznanie Palestyny było równoznaczne ze wspieraniem terroryzmu.



Izrael przeciw

Beniamin Netanjahu nazwał decyzję Francji „nagrodą za terror" i dodał, że państwo palestyńskie będzie stanowić podstawę do zniszczenia Izraela. Taka argumentacja trafi zapewne do zapiekłych izraelskich nacjonalistów, jednak logicznie jest nie do obrony. Można wykazać, że jest wręcz przeciwnie: egzystencja dwóch niezależnych państw daje większe szanse na pokój na Bliskim Wschodzie. Władzom w Tel Awiwie łatwiej byłoby dogadywać się z równorzędnym palestyńskim partnerem, mającym pod swoją kontrolą ugrupowania zbrojne, niż z Hamasem. Nie mówiąc już o tym, że Hamas czy inne grupy bojowe nie miałyby bezpośredniego powodu do atakowania Izraela. Rozwiązanie dwupaństwowe jest jednak sprzeczne z wojowniczą strategią Izraela i jego dążeniem do całkowitego podporządkowania sobie terenów zamieszkanych przez Palestyńczyków. To od lat oficjalna doktryna Tel Awiwu. Izraelski parlament w lipcu 2024 r. przyjął – przy sprzeciwie jedynie dziewięciu arabskich deputowanych – jednoznaczną rezolucję odrzucającą koncepcję utworzenia państwa palestyńskiego, argumentując, iż stanowiłoby to zagrożenie dla istnienia Izraela i jego obywateli oraz „uwieczniłoby" konflikt izraelsko-palestyński. Ostatnio stanowisko takie potwierdził minister obrony Israel Kac: Izrael nie dopuści do powstania państwa palestyńskiego, bo „stanowiłoby ono zagrożenie dla bezpieczeństwa i egzystencji Izraela", a także podawało w wątpliwość prawo do izraelskiej ziemi. Z poglądami tymi kontrastuje opinia wyrażona przez ponad 500 byłych funkcjonariuszy izraelskich organów bezpieczeństwa, którzy piszą, iż z przeprowadzonych przez nich profesjonalnych analiz wynika, że Hamas nie stwarza strategicznego zagrożenia dla Izraela, i wzywają, aby kontrolę nad Strefą Gazy objęły zreformowane władze palestyńskie.

Godząc się na utworzenie palestyńskiego państwa w granicach z 1967 r., Izrael byłby zmuszony do przekazania Palestynie wszystkich okupowanych terytoriów, łącznie ze Strefą Gazy i Zachodnim Brzegiem, gdzie już zadomowili się izraelscy osadnicy. Musieliby oni być albo deportowani na teren Izraela, albo pozostać – ale już na ziemi palestyńskiej. Tymczasem izraelski minister finansów Bezalel Smotricz, stojący na czele skrajnie prawicowej partii Religijny Syjonizm, ogłosił plan dalszego zwiększenia osadnictwa na Zachodnim Brzegu. Dziś na okupowanych przez Izrael terenach Zachodniego Brzegu i Wschodniej Jerozolimy zamieszkuje ponad 700 tys. Izraelczyków. Smotricz chce zwiększenia ich liczby o kolejne 3,5 tys. Jak otwarcie przyznał, akcja ta ma ostatecznie pogrzebać możliwość utworzenia samodzielnego palestyńskiego państwa.

Jak zapewnia premier Netanjahu, plan Smotricza ma poparcie rządu. Wywołuje jednak sprzeciw nie tylko na świecie, lecz także w samym Izraelu. Organizacja Pokój Teraz podkreśla, że plan jest śmiertelnie niebezpieczny dla Izraela oraz likwiduje szansę na rozwiązanie dwupaństwowe. Krytyczne stanowisko przyjęły kraje arabskie. Katar uznaje plan Smotricza za rażące naruszenie prawa międzynarodowego i wzywa do jedności wspólnoty międzynarodowej dla powstrzymania ekspansjonistycznych planów Izraela. O naruszeniu prawa międzynarodowego mówiła unijna komisarz od polityki zagranicznej Kaja Kallas, dodając, że Unia Europejska ponownie wzywa Izrael do wstrzymania kolonizacji. W podobnym tonie wypowiedział się rzecznik niemieckiego MSZ. ONZ ostrzega, że plan doprowadzi do wysiedlenia ludności palestyńskiej, co należałoby uznać za zbrodnię wojenną.

Z tą powszechną krytyką wyraźnie kontrastuje stanowisko Stanów Zjednoczonych. Rzecznik Departamentu Stanu nie odniósł się bezpośrednio do planów kolonizacji, oświadczając jedynie, że stabilna sytuacja na Zachodnim Brzegu utrzymuje bezpieczeństwo Izraela i „jest zgodna z celami administracji do osiągnięcia pokoju w regionie".

Rzeź Gazy cd.

Ogłoszenie planów kolonizacyjnych poprzedziła decyzja Netanjahu o kolejnej inwazji na Strefę Gazy. Pierwszy sygnał dał minister bezpieczeństwa narodowego Itamar Ben-Gwir, wzywając do okupacji całego terytorium strefy i poddania jej pod pełną kontrolę Izraela. W ślad za tym rząd zaakceptował ofensywny plan pozwalający izraelskiej armii na przejęcie kontroli nad strefą. Celem tej operacji – jak utrzymuje kancelaria premiera – ma być całkowite rozgromienie Hamasu oraz umocnienie bezpieczeństwa Izraela.

Akcja wojskowa ma być realizowana w kilku etapach. Do 7 października planowana jest ewakuacja cywilnej ludności ze strefy. Mieszkańcy mają być wysiedleni do – jak się wyraził Netanjahu – „bezpiecznych stref" i umieszczeni w namiotach. Następnie ma nastąpić zajęcie miasta Gaza, a w dalszej kolejności podporządkowanie sobie pozostałej części strefy, której już teraz 75 proc. znajduje się pod kontrolą Izraela. Zajęcie Gazy – największego miasta strefy – jest najważniejszym celem izraelskiej inwazji, albowiem, jak to się oficjalnie uzasadnia, to właśnie tam skoncentrowane są siły Hamasu. Netanjahu usiłuje przekonywać, że Izrael nie zmierza do aneksji Gazy, lecz planuje przekazać władzę nad strefą rządowi cywilnemu. Z udziału w ewentualnym rządzie ma być jednak wykluczony Hamas, jak również każdy, kto opowiada się za „zniszczeniem Izraela".

Przeciwko ofensywie wystąpili przedstawiciele rodzin zakładników, którzy zorganizowali protest, blokując m.in. autostradę łączącą Tel Awiw i Jerozolimę i wezwali do strajku generalnego. Krytycznie wypowiada się też izraelska opozycja. Jej przywódca Jair Lapid potępia okupację Gazy z operacyjnego, moralnego i ekonomicznego punktu widzenia. Zauważa też, że przeciw jest izraelska opinia publiczna.

Plan napaści wywołał też sprzeciw na świecie. Z inicjatywy Danii, Francji, Grecji, Słowenii i Wielkiej Brytanii zostało zwołane posiedzenie Rady Bezpieczeństwa. Przedstawiciel Sekretarza Generalnego ONZ Miroslav Jenca ostrzegł, że ofensywa może doprowadzić do katastrofy w Gazie i rozprzestrzenić się na cały region. Przeciwko atakowi na Gazę wystąpiło około 20 państw, w tym Egipt, Arabia Saudyjska i Turcja, wskazując na rażące naruszenie prawa międzynarodowego. Turecki minister spraw zagranicznych Hakan Fidan wezwał kraje islamskie do stworzenia wspólnego frontu w celu wywarcia presji na Izrael. I znów w mniejszości znalazły się Stany Zjednoczone: Donald Trump oświadczył, że USA koncentrują się na zapewnieniu żywności Palestyńczykom, a Izrael „zrobi swoje".

Aby nieco naprawić swój fatalny wizerunek, izraelskie władze zrezygnowały z całkowitej blokady pomocy humanitarnej, zapowiedziały stworzenie „bezpiecznych korytarzy" dla transportu pomocy i zwiększenie jej rozmiarów – oczywiście w koordynacji z USA. Łaskawie dopuściły też dziennikarzy do Strefy Gazy. Niewiele to pomogło.

Rząd w Berlinie podjął decyzję o częściowym wstrzymaniu eksportu do Izraela broni, która mogłaby być użyta w Gazie. Nie sprecyzowano dokładnie, o jakie uzbrojenie chodzi i jakie środki nie będą mogły być wykorzystane w izraelskich akcjach militarnych. Do tej pory RFN dostarczała Izraelowi wozy bojowe, broń antyczołgową i amunicję. Od 7 października 2023 do połowy maja 2025 r., Niemcy sprzedały Izraelowi broń za 485 mln euro. Niemieckie władze wezwały też Izrael do niepodejmowania dalszych kroków w kierunku aneksji Zachodniego Brzegu.

W Tel Awiwie oczywiście skrytykowano decyzje Berlina. Oświadczenie kancelarii premiera Netanjahu stwierdza, że Niemcy „zamiast wspierać sprawiedliwą wojnę Izraela z Hamasem (...) nagradzają terroryzm Hamasu". Slogan o nagradzaniu terroryzmu jest używany zawsze, gdy jakieś państwo podejmuje decyzje niezgodne z izraelską linią polityczną. Tak było również w odniesieniu do decyzji Kanady o uznaniu Palestyny – mimo stwierdzenia premiera Carneya, iż oczekuje od władz palestyńskich fundamentalnych reform, łącznie z demilitaryzacją.

Niemcy – mimo pewnego usztywnienia stanowiska wobec Izraela – nie kwapią się z uznaniem państwa palestyńskiego. Zostałoby to w Tel Awiwie odczytane nie tylko jak akt wrogi, lecz też jak odejście od pryncypiów niemieckiej polityki wobec Izraela, będącej rodzajem ekspiacji za holocaust. Zgodnie z oficjalnym stanowiskiem Niemcy mogą uznać państwo palestyńskie jedynie wówczas, gdy zostanie zakończony negocjacyjny proces umożliwiający powstanie dwóch państw.

Uznania palestyńskiej państwowości nie przewidują również Stany Zjednoczone. Trump potwierdził niedawno, iż jego administracja nie ma w planach uznania Palestyny, za to uważa za niezbędną likwidację Hamasu. Trump twierdzi też, że nie wie, co w praktyce oznaczałoby takie uznanie – skoro nie ma tam funkcjonującego rządu. Faktem jest, że rząd Autonomii Palestyńskiej sprawuje władzę tylko na niewielkiej części okupowanego Zachodniego Brzegu – podczas gdy większość jego terenów znajduje się pod kontrolą Izraela.

Uznanie to jeszcze nie wszystko

Uznanie państwowości Palestyny przez większość członków ONZ (w tym Polskę) nie oznacza jeszcze upodmiotowienia państwa palestyńskiego w strukturach międzynarodowych – przede wszystkim uzyskania członkostwa w Organizacji Narodów Zjednoczonych. Za przyjęciem Palestyny jest jednak zdecydowana większość państw członkowskich; na zeszłorocznej sesji Zgromadzenia Ogólnego podjęta została uchwała apelująca do Rady Bezpieczeństwa o aprobatę dla tej decyzji. Za były 143 kraje, przeciw 9, 25 wstrzymało się od głosu

Wyraźnie wybrzmiał głos Chin. Prezydent Xi Jinping uznał utworzenie palestyńskiego państwa za sprawę fundamentalną – zaznaczając jednocześnie, że erozja idei dwóch państw jest przeszkodą w procesie pokojowym na Bliskim Wschodzie. Z inicjatywy Chin doszło w Pekinie do spotkania i zainicjowania dialogu 14 palestyńskich struktur.

Rada Bezpieczeństwa odrzuciła stanowisko większości państw członkowskich. Za było 12 członków Rady, Wielka Brytania i Szwajcaria wstrzymały się od głosu, ale Stany Zjednoczone wykorzystały prawo weta.

BOLESŁAW K. JASZCZUK



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl 45ce44f7a0

Trumpolandia

Kandydat do pokojowej nagrody Nobla Donald Trump wysłał 8 okrętów wojennych w okolice wybrzeża Wenezueli. Albowiem atomowa łódź podwodna jest absolutnie niezbędna przy zwalczaniu przemytu kokainy, o który Trump oskarża prezydenta Maduro i innych członków wenezuelskiego rządu. Maduro odpowiedział mobilizacją 4,5 milionów członków Boliwariańskiej Milicji Wenezueli – to taki ichni WOT – a minister obrony Vladimir Padrino ogłosił rozmieszczenie dronów i patrole morskie wzdłuż wybrzeża. Ponadto Donald Trump podniósł nagrodę za głowę Nicolasa Maduro z 25 do 50 milionów dolków. Tak dla porządku: Biuro Narodów Zjednoczonych ds. Narkotyków i Przestępczości (UNODC) odnotowuje, że epicentrum produkcji kokainy znajduje się w Kolumbii i zaledwie 5 proc. kolumbijskich narkotyków przechodzi przez Wenezuelę, w której nie ma ani upraw koki, ani przetwórni kokainy.

Po tym, jak Trump wprowadził wojsko do Waszyngtonu, powołując się na pochodzącą z roku 1973 ustawę, która pozwala prezydentowi przejąć kontrolę nad Dystryktem Kolumbii w sytuacjach ekstremalnych – wśród mieszkańców postępowego, multikulturowego miasta zapanowało niejakie niezadowolenie. Wśród wyrażający owo niezadowolenie znalazł się niejaki Sean Charles Dunn, pracownik Departamentu Sprawiedliwości, który został oskarżony o czynną napaść na funkcjonariusza po tym, rzucił kanapką w jednego z agentów federalnych, uprzednio nazwawszy go „jebanym faszystą". Agenci dopadli i zglebowali Seana, ktoś to nakręcił, filmik stał się wiralem i plakaty w stylu słynnego murala Banksy'ego z terrorystą rzucającym kwiatami – tyle, że z kanapką – pojawiły się w całym mieście. Trzy dni później Dunn został wylany z roboty, co ogłosiła w socjalach prokurator generalna Pam Bondi: „Jeśli podnosisz rękę na funkcjonariusza organów ścigania, idziemy po ciebie". Dodała też, że kanapka Dunna jest dowodem na działanie „deep state" (to taka teoria spiskowa bardzo popularna wśród republikańskich oszołomów) i że zostaną mu postawione zarzuty. Wielka Ława Przysięgłych odrzuciła jednak akt oskarżenia.

Z kolei na rządzonej przez republikańskiego oszołoma Rona de Santisa Florydzie policja aresztuje za kredę. W 2017 roku pasy na ulicy przed gejowskim klubem Pulse – w którym rok wcześniej zamachowiec zastrzelił 49 osób, bo brzydził się pedalstwem – zostały w geście pamięci pomalowane w barwy tęczy. Gubernator de Santis kazał tęczę zlikwidować, w ramach zainicjowanej przez administrację Trumpa walki z obecnością symboli LGBT w przestrzeni publicznej, choć oficjalnie chodziło o to, żeby – jak zalecił sekretarz transportu Sean Duffy – „wyeliminować elementy rozpraszające" z amerykańskich ulic. Aktywiści zaczęli malować tęczowe pasy kredą, a policja ich zatrzymuje za „niszczenie jezdni". Sądy, ku desperacji De Santosa, wypuszczają kredziarzy bez zarzutów.

Po internecie krąży zestaw dwóch zdjęć: gabinet owalny przed i po wjeździe obecnego lokatora. Przywódca Wolnego Świata zastosował – jak to ujął – kilka „trumpowskich akcentów", więc cały gabinet obesrany jest złotem, ze złotymi reliefami na ścianach i suficie, 20 portretami byłych prezydentów w wyjebanych złotych ramach (Biden miał 4, a Obama – 2), 9 złotymi pucharami na kominku, którego marmurowe rzeźby zostały pomalowane na złoto, podobnie jak rzeźbione cherubiny nad framugami. Ten cud natury został wykonany przez Johna Icarta – rzemieślnika z Florydy, który ozdabiał trumpowy pałac w Mar-a-Lago. Trump sprowadził go do Waszyngtonu na pokładzie Air Force One. Sekretarz prasowa Białego Domu Karoline Leavitt ogłosiła, że nowy wystrój to „złoty gabinet na złoty wiek".

AWŁ

My tu gadu-gadu, a Palestyńczyków ubywa

Lista polskiego wstydu



Organizatorzy targów zbrojeniowych w Kielcach nie widzieli przeciwwskazań, by Izraelczycy pokazali nad Wisłą broń wykorzystywaną do unicestwiania mieszkańców Strefy Gazy. Prezentowania ofensywnego uzbrojenia zabronili im wcześniej m.in. Francuzi i Holendrzy.

31 sierpnia z portu w Barcelonie wyruszyła część Global Sumud Flotilla. W najbliższych dniach blisko 100 statków i delegacje z 44 krajów podejmą się próby przełamania nielegalnej izraelskiej blokady Strefy Gazy i otwarcia korytarza humanitarnego dla głodzonych Palestyńczyków.

Wśród uczestników akcji znalazła się delegacja z Polski, w skład której wchodzą m.in. prezes Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego Palestyńczyków Polskich Omar Faris i platformiany poseł Franciszek Sterczewski.

Plusk nadziei

Wiele wskazuje na to, że Palestyńczycy będą mogli co najwyżej oblizać się na myśl o jedzeniu – jak wynika z doniesień dziennika „Israel Hayom", skrajnie prawicowy minister bezpieczeństwa Itamar Ben-Gwir przedstawił już Netanjahu plan ukarania uczestników „Flotylli Wolności", obejmujący natychmiastową konfiskatę statków i przekazanie ich izraelskiej policji.

Wielka jest łaska żydowskiego okupanta, w końcu pasażerów statków planuje pozostawić przy życiu. 31 maja 2010 r. izraelska marynarka wojenna zaatakowała sześć statków przewożących 663 propalestyńskich działaczy Pokojowej Flotylli z 37 państw wiozących pomoc humanitarną. W akcji, która otrzymała wdzięczny kryptonim „Morska Bryza" zginęło dziewięciu pasażerów znajdujących się na pokładzie głównego statku Flotylli – MV „Mavi Marmara".

Wsparcia Global Sumud Flotilla udzielili m.in. polscy artyści oraz osoby związane z kulturą i sztuką. W wystosowanym do polskiego rządu liście wezwali władze Rzeczypospolitej Polskiej do publicznego wyrażenia poparcia dla pokojowej misji ratującej życie cywilów w Strefie Gazy, zapewnienia ochrony konsularnej dla polskiej delegacji oraz wsparcia dla wszystkich jednostek flotylli biorących udział w misji; zintensyfikowania działań politycznych i dyplomatycznych na forum międzynarodowym w celu natychmiastowego zakończenia izraelskiego ludobójstwa w enklawie (w tym zagwarantowania bezpiecznego korytarza humanitarnego); całkowitego embarga na obrót bronią, usługami i towarami o znaczeniu strategicznym z Izraelem (zgodnie z obowiązującym Polskę prawem krajowym i międzynarodowym, zawartym w traktacie o handlu bronią, wspólnym stanowisku Rady UE oraz konwencji o zapobieganiu i karaniu zbrodni ludobójstwa), a także dążenia do zwiększenia liczby ewakuacji medycznych na terenie Unii Europejskiej. To miłe, wszak marzenia nic nie kosztują.

Tymczasem 30 sierpnia Radosław Sikorski opublikował w swoich social mediach przypominajkę Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP, że MSZ stanowczo odradza wszelkie podróże do Rosji i wyraża negatywną rekomendację podróży do Ukrainy, Izraela i Strefy Gazy.

„Podróżując wbrew wskazówkom MSZ narażamy nie tylko siebie, ale też Polskę na koszty ewentualnej ewakuacji, która nie zawsze jest możliwa. Jak TOPR przestrzega przed lawinami, to się nie idzie w góry!" – napisał błyskotliwie Sikorski.

Holocaust specjalnej troski

Wszystkie apele, protesty, marsze – to głos wołającego na puszczy. Państwo polskie ma w dupie dokonywane przez Izrael czystki etniczne w Palestynie. Wała dał wystosowany przez organizacje społeczne i osoby indywidualne apel o wykluczenie izraelskich firm zbrojeniowych z udziału w kieleckich targach Międzynarodowego Salonu Przemysłu Obronnego.

26 sierpnia przedstawiciele Amnesty International Polska przekazali do Kancelarii Premiera ponad 7,5 tys. podpisów pod żądaniem oficjalnego potępienia przez Polskę zbrodniczych działań Izraela w Strefie Gazy i nazwania ich ludobójstwem oraz podania do publicznej wiadomości, jaki sprzęt wojskowy jest przedmiotem wymiany handlowej między Polską a Izraelem. Bez echa.

Dał nam przykład Lula

Dla porównania prezydent Brazylii Luiz Inacio Lula da Silva nie pieścił się w tańcu i już przeszło rok temu na szczycie Unii Afrykańskiej w Europie nazwał rzecz po imieniu. Stwierdził, że to, co spotyka w Strefie Gazy naród palestyński, można porównać tylko ze zbrodniami Hitlera na Żydach. Na dokładkę Lula wykurwił na stałe ambasadora Izraela – kilka dni po tym, jak w mieście Rafah IDF zamordował 45 palestyńskich cywilów mieszkających w obozowisku dla uchodźców. Pod koniec sierpnia bieżącego roku Brazylia odrzuciła nominację Galiego Dagana na nowego izraelskiego ambasadora, pozostawiając to stanowisko nieobsadzone od czasu wyjazdu jego poprzednika. O podobnej reakcji rządu nad Wisłą możemy pomarzyć.

Nie będzie też żadnych sankcji na Izrael. Podczas gdy Turcja całkowicie zrywa handel, zamyka porty i przestrzeń powietrzną dla cesarstwa Bibiego, po Polsce niesie się echo słów wiceministra spraw zagranicznych Władysława Teofila Bartoszewskiego (PSL), który pod koniec lipca w audycji „Poranek radia TOK FM" podkreślił, że Izrael przestrzega międzynarodowego prawa humanitarnego w stopniu większym niż wiele innych państw w podobnych konfliktach (sic!). Uznał też, że Polska nie powinna przyłączać się do sankcji na Izrael, bo to Hamas rozpoczął eskalację konfliktu, a sankcje zaszkodziłyby relacjom z naszym sojusznikiem. Tych jest sporo.

Z badań danych Narodowego Banku Polskiego wynika, że inwestorzy z Izraela ulokowali w Polsce 1 mld zł aktywów. Suma jest realnie wyższa i szacuje się ją nawet na 5 mld dol., a różnica z szacunków wynika z faktu, iż znakomita większość inwestorów izraelskich lokuje kapitał w Polsce poprzez firmy mające siedziby na Cyprze, w Holandii lub USA. Czy Polska bodaj zagroziła zamrożeniem izraelskich aktywów za zbrodnie dokonywane w Strefie Gazy? Ależ skąd…

W sondażu SW Research dla „Rzeczpospolitej" z maja 2025 r. 60,4 proc. Polaków poparło sankcje na Izrael. Bartoszewski skwitował te dane stwierdzeniem, że „opinia publiczna jest emocjonalna, ale rząd musi myśleć długoterminowo". Powiedział również, że „Polska ma moralny obowiązek wobec Izraela, jako kraj, który stracił miliony Żydów w Holokauście".

30 sierpnia Radosław Sikorski pochwalił się na portalu X zdjęciem z nieformalnego spotkania ministrów zagranicznych Unii Europejskiej w Kopenhadze poświęconemu „wojnie w Ukrainie i katastrofie humanitarnej w Gazie". Dziwne przejęzyczenie na ludobójstwo, bardzo polskie.

IDALIA DUBICKA

REKLAMA



eprasa.pl 45ce44f7a0

Rząd wydaje miliony na planowanie czegoś, czego nigdy nie zrobimy.

Wilgotne studium niewykonalności

Dziewięć lat temu rząd PiS obwieścił światu, że wybudujemy drogę rzeczną, która połączy Bałtyk z Morzem Czarnym. Pomysł był z gatunku tych, do których należała budowa hiperlotniska, miliona elektromobili i mieszkań plus. Tyle że wtedy, miast wzbudzić śmiech, obiecanka wywołała w zielonej części narodu strach. Jeśli jednak ktoś sądzi, że mrzonki o Polskiej rzece od morza do morza umarły po 13 grudnia 2023 r., to nic z tych rzeczy. Rząd wszak zaklepał w budżecie na ten rok kasę na dofinansowanie zakupu opracowania „Studium wykonalności dla kompleksowego zagospodarowania międzynarodowych dróg wodnych E-40". Wydajemy więc 5 297 417,06 zł, na coś, co współfinansuje Bruksela, a co nie ma najmniejszego sensu.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Powódź suszy

Już sześć lat temu ukazał się zamówiony przez ekologów raport naukowców z SGGW i UW mówiący o tym, że jak Polska zbuduje drogę wodną E40 z Warszawy do Brześcia, to Lubelszczyzna i Podlasie spustynnieją. Bo częstotliwość susz na tym terenie wzrośnie o 172 proc.

Chyba że dotknie je potop. Bo naukowcy twierdzili też, że „na części odcinków wody z kanału przenikałyby do warstw wodonośnych, co mogłoby powodować podtopienia".

Najbardziej zagrożone są tymi dopustami oczywiście zwierzątka i roślinki. A to wszystko dlatego, że trzeba będzie Wisłę z Brześciem połączyć kanałem lateralnym. Znaczy wykopać drugi Bug – równoległy do pierwszego. W związku z czym Bugi byłyby dwa. Pisowski rząd rozpatrywał jeszcze dwie inne trasy, ale ponieważ miały biec takimi arteriami wodnymi jak Wieprz, to aby nadawały się do spławu, też trzeba by je wykopać całkiem na nowo.

No i wypadałoby porobić śluzy oraz mnóstwo innych infrastruktur hydrologicznych. A potem jeszcze do tego wlać wodę. Tak – wlać. Bo tego, co w Bugu czy Wieprzu jest teraz, na szlaki wodne nie starczy. Wodę brałoby się z Wisły, tej samej, w której wody najczęściej już dziś brakuje. A ponieważ w wielu miejscach miałaby pod górkę, to konieczne byłoby jej pompowanie. I to nawet na długości 200 km. A przepompowanie wody z Wisły też byłoby – zdaniem ekologów – dramatem. Wszak odbiłoby się negatywnie na żabach, rybach tudzież motylkach zamieszkujących jej brzegi.

Ekolodzy sądzili wtedy, że dzięki raportowi Bruksela zabroni Warszawie kopania nowych koryt rzek. I tu się zdziwili.

Bo to właśnie Unia od lat namawiała Polskę, żeby ta przystosowała swoje rzeki do celów transportowych. A wszystko – rzecz jasna – dla ekologii. Po to opracowano Zintegrowany Europejski Program Działań na Rzecz Żeglugi Śródlądowej mówiący, że trzeba przesunąć część ładunków z dróg na kolej i barki. Zgodnie z założeniami tej unijnej polityki w 2030 r. z dróg powinno zostać przeniesione na szyny i wodę 30 proc. towarów, a do 2050 r. – ponad 50 proc.

Kanał polski

W 2016 r. Polska przyjęła strategię rozwoju śródlądowych dróg wodnych i została zobligowania do przystąpienia do czegoś, przed czym migaliśmy się 21 lat. W taki oto sposób w 2017 r. staliśmy się sygnatariuszem Konwencji AGN – Europejskiego Porozumienia w Sprawie Głównych Śródlądowych Dróg Wodnych o Międzynarodowym Znaczeniu. Musieliśmy się przy tej okazji zobowiązać, że udrożnimy dla barek trzy trasy. Dwie z nich od biedy istniały, bo wybudowano je jeszcze w czasach zaborów. Więc od Bydgoszczy można by było pływać tak do Czech, jak i na Zachód. Jednak E40 nad Morze Czarne była absolutną mrzonką brukselskich lobbystów od budownictwa hydrologicznego. Ma spełniać warunki drogi wodnej IV klasy, czyli na całym przebiegu szlak żeglowny powinien mieć szerokość minimum 40 m oraz minimalną głębokość 1,8 m, czyli ma umożliwić ruch barek o ładowności do 1500 ton i długości do 85 metrów.

Bruksela postrzega Polskę przez pryzmat produkowanych przez nas statystycznych głupot. Z nich zaś wynika, że w UE mamy piątą pod względem długości sieć dróg wodnych. Unijni urzędnicy nie doczytali widać, że z naszych nominalnych 3650 km spławnych rzek wymagania stawiane drogom wodnym o znaczeniu międzynarodowym spełnia ledwie 200 km. Resztą mogą pływać tylko tratwy flisaków.

Polska nie jest krajem produkującym miliony ton czegoś, co nadaje się do transportu wodnego. Wszystkie polskie porty morskie przeładowują przecież ok. 100 mln ton rocznie. Tyle, co jeden średniej wielkości port rzeczny na Renie. Co nie przeszkadzało w swoim czasie Beacie Szydło wyjęczeć w swoim exposé: „Chcemy, by polskie rzeki stały się wielkimi drogami, po których będą płynąć pełne towarów barki zwodowane w rodzimych stoczniach".

Bajdurzenia te przebił Andrzej Duda, przekonując, że polskie rzeki będą jak Jangcy, którą widział w Szanghaju: „Proszę Państwa, tą rzeką płynęła barka za barką przez 24 godziny na dobę. Cały dzień i całą noc tą rzeką w dwie strony trwał transport – dosłownie barka za barką! I to pokazywało między innymi nieprawdopodobny potencjał tej gospodarki".

Skoro zatem PiS zobowiązało się elektoratowi i zagranicy do zrobienia międzynarodowego spławu do Morza Czarnego, to zaczęto udawać, że się coś robi. Zwłaszcza że do tych inwestycji nie było ani serca, ani pieniędzy. Powołano zatem Komitet Sterujący, wybrano odpowiednie gremia i ciała i polecono im opracowywanie. Ba, dogadano się nawet z Białorusią, która zapowiedziała, że też zabierze się za prace studialne nad rzecznym zagadnieniem. Do czasu ruskiej agresji na Ukrainę budowa E40 polegała na pozorowaniu działań okraszonym wzniosłymi deklaracjami.

Tak źle, że aż doskonale

Żeby było jeszcze zabawniej jedyny dokument, na którym bazowali pisowscy planiści, to studium wykonalności drogi wodnej E40, które powstało jeszcze za poprzednich rządów Tuska. Studium absolutnie kuriozalne.

Przez całe rozdziały udowadniano, że inwestycja w drogę wodną E-40, jest pomysłem poronionym, żeby w podsumowaniu każdej części stwierdzić, że dzięki tej inwestycji Polska urośnie w siłę, a PKB będzie dostatniejsze.

Wyszacowano na przykład, ile towarów mogłoby płynąć z Ukrainy i Białorusi barkami do Polski i w drugą stronę. Znaczy do nas – 940 tys. ton towaru, a od nas – 300 tys. ton. Wniosek wysnuto słuszny: „występująca duża nierównowaga kierunkowa w przewozach ładunków będzie negatywnie oddziaływała na wykorzystanie środków transportu (barek), a zatem i na opłacalność tej żeglugi". Zamiast napisać, że to wszystko bez sensu, bo barki na Morze Czarne wracałyby puste.

Nonsens przedsięwzięcia wyzierał i z takiego fragmentu: „obecna wymiana handlowa pomiędzy wyżej rozwiniętymi gospodarczo a państwami leżącymi w basenie Morza Czarnego nie stanowi istotnych pozycji w eksporcie i imporcie. Prognozy UE nie przewidują na tym kierunku wielkiego wzrostu przewozów w najbliższych latach".

W studium wyliczono też, że transport rzeczny jest niewiele tańszy od przewozu koleją, która z kolei jest trzykrotnie tańsza od tirów. I na tym myślenie o kopaniu drugiego Bugu winno się było zakończyć.

Ale ani za PiS, ani teraz, nikt tego nie śmie powiedzieć. Tymczasem rzeczywisty koszt dokopania się z Wisły do Brześcia to 100 mld zł. Za taką kasę wybudowalibyśmy trasy pod towarowe Pendolino. Pod warunkiem że polscy producenci chcieliby coś wozić pociągami. A mimo taniości z tej formy transportu nie chcą korzystać z kolei nawet dziś, o czym świadczy podła kondycja PKP Cargo.

W obecnej sytuacji geopolitycznej forsowanie projektu na terenie Polski stało się jeszcze bardziej absurdalne, bo tuż po lutym 2022 r. Ukraina wypowiedziała jednostronnie umowę z Białorusią o żegludze na śródlądowych drogach wodnych. Żadnego kanału nie będzie więc w jakiejkolwiek przewidywalnej przyszłości. Ale zamiast to powiedzieć, rząd będzie posyłał kasę z Brukseli, dokładał miliony od polskiego podatnika i produkował niepotrzebne analizy. Przy okazji stresując miłośników żabek, rybek i ptactwa wodnego.

TOMASZ BOROWIECKI

Życie w dobrobycie

● Narodowy Bank Polski przez ostatnie lata też przyzwyczaił Polaków do chwalebnych komunikatów. Że rezerwy złota rosną, że bijemy rekordy, że jesteśmy na najlepszej drodze, by dorównać największym. Prezes Glapiński z lubością ogłaszał: „Dobiliśmy do 480 ton. Idziemy w kierunku 500 ton. Zbliżamy się do zasobów Europejskiego Banku Centralnego". I rzeczywiście – w połowie tego roku w skarbcu NBP leżało 515,5 tony kruszcu. Tym większe było zdziwienie, gdy na koniec lipca w rezerwach znalazło się już nie 16,573 mln uncji złota, a 16,568 mln uncji. Ubyło niewiele – około 155 kilogramów. Niby kropla w morzu. Ale w morzu, które według samego NBP ma być fundamentem „stabilności finansowej kraju". NBP od lat powtarza, że złoto uniezależnia nas od ryzyka kredytowego i politycznego, że właśnie ono w czasach kryzysów ma chronić nas przed zawirowaniami na rynkach walutowych. Tyle że złoto – jak każdy inny towar – jest wyceniane przez spekulantów giełdowych, którzy pompują bądź spuszczają ceny w zależności od nastroju. Dziś tona warta jest fortunę, jutro może kosztować o jedną piątą mniej. Tym bardziej zastanawia więc, dlaczego zniknęło te 155 kilogramów. Ktoś pomylił się w liczeniu sztabek czy może „bezpieczna rezerwa" nagle została podmieniona na gotówkę? Bo każdy, kto zna życie, wie, że jeśli z kasy „ubyło tylko trochę", to najczęściej jest to dopiero początek czegoś grubszego.

● Ministrowie z dumą powtarzają, że polska gospodarka ma się znakomicie. Owszem, bezrobocie w Polsce wciąż jest niskie poziomie, ale… W pierwszej połowie roku pracodawcy zgłosili plany zwolnień obejmujące aż 80 tys. osób. To więcej niż w koronawirusowym 2020 r. i ponad dwa razy więcej niż w całym zeszłym roku. W ciągu sześciu miesięcy pracę straciło już ponad 17 tys. ludzi – dokładnie tyle, ile w latach 2021–2023 razem wziętych. A przecież dotychczas zrealizowano około 20 proc. zapowiadanych redukcji, co oznacza, że w kolejnych miesiącach skala zwolnień znacząco wzrośnie. Ministra Dziemianowicz-Bąk ogłasza zaś, że pracujemy za długo i czas skrócić tydzień pracy. Problem w tym, że tysiące osób w ogóle nie będą miały gdzie pracować. A przecież to dopiero początek. Dane GUS pokazują, że zyski firm spoza sektora finansów spadły w 2024 r. aż o 24 proc., inwestycje o 7,8 proc., a produkcja przemysłowa o 2 proc. W motoryzacji katastrofa – produkcja aut osobowych runęła o 76,6 proc. Skoro nie ma zysków, nie ma podwyżek, a zamiast nowych miejsc pracy mamy hurtowe wypowiedzenia. Żeby tylko. W zeszłym roku Państwowa Inspekcja Pracy interweniowała na rzecz 74 tys. pracowników, którym nie wypłacono ponad 270 mln zł pensji. Ale przecież jesteśmy 20. gospodarką świata!

● Tym bardziej że NBP ogłosił, że może zakończyć rok z 30 mld zł straty. Powód? To, co jeszcze niedawno Glapiński przedstawiał jako sukces – czyli umacniający się złoty. „Obserwowane w bieżącym roku umocnienie złotego wobec walut obcych (w szczególności dolara amerykańskiego) może przyczynić się do odnotowania przez NBP ujemnego wyniku finansowego za rok 2025" – czytamy w komunikacie banku centralnego. Dla laika brzmi to dziwnie, bo skoro złoty jest mocny, to powinno nam być lepiej, prawda? Ceny importowanych towarów niższe, wakacje w Turcji czy Egipcie tańsze, rata za leasing samochodu z Niemiec mniejsza. Ale dla NBP to kłopot, bo rezerwa – którą bank centralny trzyma w dolarach, euro czy funtach – w przeliczeniu na złotówki nagle traci wartość. I choć na koniec lipca rezerwy wciąż wynosiły 255 mld dol., w tym prawie 55 mld dol. w złocie, to w złotówkach liczby te wyglądają znacznie mizerniej. Innymi słowy – im mocniejszy złoty, tym mniej złotówek warte są nasze zagraniczne skarby. A że zgodnie z prawem NBP przekazuje część zysków do budżetu państwa, to przy stracie przekazywać nie musi nic. A może właśnie o to chodzi? Żeby, Boże broń, z kasy banku centralnego cokolwiek wpadło do budżetu Rudego.

● Jeszcze w latach 90. wyjazd na Słowację kojarzył się Polakom z tanim piwem i słodyczami, które przywoziło się z południa Tatr całymi reklamówkami. Potem sytuacja się odwróciła – Słowacy przyjęli euro, ceny poszybowały w górę i to u nas zaczęło być taniej. Dziś jednak historia zatoczyła koło i Polacy znów pakują do bagażników skrzynki słowackiego piwa, które można tam kupić za 55 eurocentów. To mniej więcej 2,35 zł. Nawet jak doliczyć 9 centów kaucji, to i tak jesteśmy poniżej 3 zyli. W Polsce za tyle piwa się nie kupi, może z wyjątkiem okazjonalnych promocji. Trudno więc dalej bronić tezy przeciwników euro, że to właśnie ta waluta odpowiada za wysokie ceny w sklepach. U nas euro nie ma, a piwo jest droższe niż u sąsiadów, którzy płacą wspólną walutą od 2009 r. A różnica w cenach może się jeszcze pogłębić, bo Ministerstwo Finansów ogłosiło, że od nowego roku akcyza na alkohol wzrośnie – i to trzykrotnie bardziej niż planowano.

● W Koninie euforia, niczym w prorządowych mediach. Bo do miasta przychodzi nowy inwestor, z Chin. JD Energy Europe kupiło zakład po Johnson Matthey i obiecuje setki miejsc pracy, nowoczesne technologie, a nawet farmę fotowoltaiczną obok fabryki. Prezydent Piotr Korytkowski nie kryje dumy: „To bardzo dobra informacja. Oznacza bowiem przede wszystkim nowe miejsca pracy dla mieszkańców, a dla samorządu dochód z podatków". W firmie w przyszłym roku ma pracować 300 osób, a docelowo – nawet 800. Do fabryki ma kursować specjalny autobus miejski. Tyle że podobną radość mieszkańcy Konina słyszeli już kilka razy. W 2019 r. do miasta z pompą weszli Brytyjczycy z Johnson Matthey. Też miało być pięknie – nowoczesna fabryka materiałów akumulatorowych, setki etatów, nowe podatki dla miasta. Budowę zaczęto, ale w 2021 r. inwestycję zwinięto. W 2024 r. pojawił się kolejny inwestor – Ningbo Ronbay New Energy Technology. Chiński koncern ogłosił, że „zakończenie budowy pierwszej fazy to koniec 2025 r.". Korytkowski wtedy też się cieszył. Ronbay chwalił się, że zakład ma pełną infrastrukturę, laboratoria i decyzje środowiskowe, więc produkcja ruszy szybko. Nie ruszyła. Teraz do gry wchodzi JD Energy Europe. Zapowiada modernizację do końca 2025 r. i start produkcji w 2026 r. Brzmi znajomo? Brzmi.

TTJ

eprasa.pl 45ce44f7a0

I znowu wuef

Nowy rok szkolny, stare problemy

Zmiana w lekcjach wychowania fizycznego powinna obowiązywać od 1 września, ale jeszcze nie obowiązuje, bo nie zdążono przelać jej zasad na papier. Zmiana polegać ma m.in. na częstszym wyprowadzaniu uczniów na świeże powietrze, nauce współpracy oraz zdrowego stylu życia i zwiększeniu różnorodności ćwiczeń. W starszych klasach wprowadzone mają być testy obowiązujące w czasie rekrutacji do służb mundurowych. Najprawdopodobniej gdy szczegółowy program wreszcie przelany zostanie na papier, na papierze pozostanie – bo z tego, co już wiadomo, nie bardzo przystaje do szkolnych realiów. Regułą jest, że ambitne plany sobie, a życie sobie.

Źle, coraz gorzej

Owszem, można nakazać odbywanie jednej trzeciej zajęć miesięcznie na świeżym powietrzu, ale co zrobić zimą, jeśli nasz nieobliczalny klimat znów się zmieni i powrócą mrozy, jak za dawnych lat? Jak urozmaicić zajęcia, jeśli w pakamerze wuefisty nie ma niezbędnego sprzętu?

W klasach 1–3 zajęć nie prowadzą specjaliści, ale nauczyciele innych przedmiotów. Nie wiadomo, czy uda się im zaszczepić w dzieciach nawyk ruszania się i uprawiania jakichś podstawowych sportów, skoro sami nie mają o nich bladego pojęcia, a być może większość czasu spędzają w fotelu przed telewizorem. Czy ministerialnym zarządzeniem we wszystkich szkołach powstaną czyste szatnie i natryski – jeśli jeszcze nie wszędzie istnieją prawdziwe sale gimnastyczne, a tam, gdzie są, musi z nich naraz korzystać nawet blisko pół setki uczniów?

Takie pytania można mnożyć, ale zza biurka się ich nie rozwiąże. Podstawowym problemem są – jak wszędzie – pieniądze, a raczej ich niedostatek. Bez odpowiedniej infrastruktury, sprzętu i wyszkolonych nauczycieli można tworzyć fascynujące programy, które jednak po prostu nie wejdą w życie.

Oczywiście nie oznacza to, że nie trzeba niczego robić, że sposób prowadzenia lekcji wychowania fizycznego w szkołach jest dobry i gwarantuje nam dobrą kondycję dorastającego pokolenia. Jest wręcz odwrotnie. Podczas rekrutacji do policji trzeba obniżać kryteria przyjmowania chętnych, bo ich wydolność i umiejętności fizyczne sprawiają, iż nie byłoby komu patrolować ulic.

Warszawska Akademia Wychowania Fizycznego od kilku lat prowadzi badania obejmujące ponad 2 tys. dzieci z 17 podstawówek z całej Polski. Wyniki są gorsze niż złe, zwłaszcza po pandemii COVID-19, która zamknęła młodzież w domach przed komputerami i laptopami.

Trudna sztuka kozłowania

Aż strach o tym pisać, ale okazuje się, że 94 proc. dzieci i młodzieży ma niewystarczające kompetencje ruchowe, czyli nie potrafi prawidłowo biegać, skakać, rzucać piłką. Co istotne, nie oceniano uzyskanego czasu, dystansu, liczby punktów – tylko prawidłowość, z jaką sprawdzani wykonywali te czynności. Uczniowie klas 1–3, którzy nie nabyli w tym okresie tych umiejętności, nie chcą później ćwiczyć na lekcjach, czują się wykluczeni i rozglądają się za pretekstami pozwalającymi zwolnić się z zajęć. To już zostaje na całe życie.

Po prostu w głowie się nie mieści, że zdecydowana większość polskich dzieci nie potrafi kozłować… Autorzy badań z warszawskiej akademii zwracają uwagę, że nie badają umiejętności niezbędnych do uprawiania sportu czy do wyczynowych treningów w przyszłości. Chodzi o takie, które ułatwiają codzienne życie, choćby wchodzenie na schody i schodzenie z nich.

Prof. Bartosz Molik z AWF przestrzega przed powszechnym sądem, że dzieci na wuefie powinny spontanicznie cieszyć się zajęciami, bieganiem, skakaniem, rzucaniem. To trochę tak – twierdzi profesor – jak gdyby pani od matematyki powiedziała: mnóżcie sobie, jak chcecie, dodawajcie, odejmujcie, dzielcie, cieszcie się rachowaniem. Tymczasem zajęcia wychowania fizycznego, podobnie jak polskiego czy matematyki, powinny być prowadzone przez odpowiednio przygotowanego do nich nauczyciela. Dlatego na wspomnianej uczelni powstał projekt powołania dwusemestralnych podyplomowych studiów nauczania początkowego, podczas których wykładano by, jak pracować nad rozwojem ruchowym dzieci.

Znowu piękna teoria. Ale znajdźcie mi chętnych do przedłużenia sobie o rok studiów, by zarabiać marne grosze w podstawówce. Nasza młodzież umie liczyć. Na akademiach wychowania fizycznego najbardziej oblegane są kierunki fizjoterapeutyczne, dające możliwość godnego zarabiania w tym zawodzie, i trenerskie, bo prywatne kluby i szkółki także nieźle płacą.

Gdy okazało się, że pandemia drastycznie obniżyła i tak niską aktywność ruchową dzieci i młodzieży, warszawska akademia zorganizowała i wprowadziła program „WF z AWF”. Przeprowadzono kilkadziesiąt tysięcy zajęć pozalekcyjnych, prowadzonych przez fachowców. Super.

Test prezydencki

Nie tylko u nas istnieją ogólnonarodowe programy prosportowe. Prezydent USA Donald Trump rozporządzeniem wykonawczym przywrócił „prezydencki test sprawności”. To inicjatywa istniejąca od 1966 r. i serdecznie znienawidzona przez uczniów szkół publicznych, w których teoretycznie nadal obowiązuje. Test obejmuje takie sprawdziany jak bieg na milę, „brzuszki” i ćwiczenia elastyczności ciała. U nas prezydencki test sprawności obejmowałby zapewne udział w kibolskich ustawkach lub walkę w oktagonie MMA. Może jeszcze siłowanie na rękę…



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Amerykańscy uczniowie nienawidzili sprawdzianu z oczywistych powodów: nie lubili się męczyć. Sprawdzian krytykowała także część specjalistów wychowania fizycznego. Nie powinno się wśród uczniów wprowadzać tego rodzaju współzawodnictwa, które wyklucza niektórych i naraża ich na drwiny rówieśników w przypadku niespełnienia wymogów. O prezydenckim teście pomaleńku zapominano, aż zapomniano na dobre, choć formalnie nadal obowiązywał. Teraz powraca, bo – zdaniem prezydenta Trumpa – jest ważną częścią historii USA.

Byłoby dziwne, gdyby ogłoszenie decyzji władcy Stanów Zjednoczonych odbyło się bez skandalu. Skandale wręcz lgną do jego osoby. Wśród ambasadorów testu sprawności prezydenckiej znalazł się były zawodnik ligi NFL Lawrence Taylor. Problem w tym, że w przeszłości był on skazany za napaść seksualną na osobę niepełnoletnią. Czy akurat ta postać powinna dbać o fizyczność uczennic i uczniów szkół publicznych w USA? Zapytano samego Taylora, co będzie robić, pełniąc zaszczytną funkcję. – Nie wiem – odpowiedział szczerze – ale zawsze jestem gotów służyć krajowi.

Dziwny to kraj te Stany Zjednoczone. Z jednej strony obowiązuje tam kult fizycznej sprawności, a sportowcy spod gwiaździstego sztandaru zdobywają medale w niemal wszystkich dyscyplinach. Z drugiej strony, trzy czwarte Amerykanów cierpi na nadwagę lub otyłość. Pamiętam, że gdy zwiedzałem Nowy Jork i Florydę, czułem się fantastycznie. Mogłem uchodzić tam za szczuplaka, choć brzuch już wówczas zaczynał się rysować pod moim T-shirtem.

Magistrowie od fikołków

Z tego wszystkiego byłbym zapomniał, że przecież ja także byłem uczestnikiem lekcji wychowania fizycznego. Mogłem zapomnieć, bo było to bardzo dawno, w innych czasach i w innym ustroju.



W podstawówce, w młodszych klasach, lekcje prowadziła wychowawczyni. Polegały głównie na tzw. gimnastyce szwedzkiej, choć nie wiem, czy miało to coś wspólnego z systemem ćwiczeń wymyślonym w XIX w. przez szwedzkiego pedagoga Pehra Linga. Po prostu odrzucaliśmy ręce w bok, do góry i wprzód oraz wykonywaliśmy skłony tułowia. Czasem odbywało się to na korytarzu, a czasem w klasie. Wówczas siedzieliśmy w ławkach w obowiązkowych granatowych fartuszkach z białymi kołnierzykami i wymachiwaliśmy łapskami.

Czasem dla urozmaicenia pani przynosiła woreczek z zaszytymi wewnątrz ziarnami fasoli i rzucaliśmy go między sobą. Ciekawe, czy ministra edukacji narodowej Barbara Nowacka albo jej poprzedniczka minister (Boże broń ministra, dla pisowców jest to obraźliwe słowo) Anna Zalewska zatwierdziłyby taki program zajęć. Nie wiem zresztą, czy w moich młodych latach był zatwierdzony ministerialnym podpisem program; pewnie jakiś musiał być, ale my – uczniowie – nie mieliśmy o tym pojęcia.

Później, gdy podrośliśmy, ćwiczyliśmy dwa razy w tygodniu po 45 min w sali gimnastycznej i – o ile pamięć mnie nie myli – pani lub pan od wuefu rzucali nam piłkę i mówili: „Łapcie ją i grajcie sobie”.

Swoją drogą, jakże inna była wówczas pedagogika. Dopuszczalne w mojej podstawówce były kary cielesne i nieraz dostałem linijką po dłoni, którą musiałem dzielnie nadstawić do wymierzenia kary. Powszechne było ciągnięcie za uszy, a w klasie stała osobna ośla ławka, w której przez jakiś czas trzeba było zasiadać za różne wykroczenia. Dziś nauczyciel, który biłby uczniów linijką, ciągnął za uszy i poniżał, sadzając w oślej ławce, sam zostałby posadzony i to nie w oślej ławce.

W liceum lekcje wychowania fizycznego traktowano już poważnie: przewroty w przód i w tył, wymyk na drążku i takie rzeczy. Dobrze pamiętam obowiązkowy skok przez kozła, bo po nim bolały jajka, jeśli się źle trafiło. Z wuefu dostawaliśmy ocenę, teoretycznie tak samo ważną jak z polskiego czy matematyki, ale w rzeczywistości przedmiot traktowany był po macoszemu, a prowadzący go nazywany magistrem od fikołków.

Najwięcej przyjemności dawało nam granie w piłkę, gdzie się tylko dało albo i nie dało, bez żadnych nauczycieli. Wielu z nas już zaczynało trenować jakąś dyscyplinę w klubach.

Nie mam zamiaru gloryfikować PRL, dostęp do wędlin i wielu innych produktów był utrudniony, ale jeśli chodzi o sport, żadne bariery nie istniały. Kto chciał, mógł go bezpłatnie uprawiać na najróżniejszych poziomach.

O ile pamiętam – a to już dobrze pamiętam, bo pracowałem jako dziennikarz sportowy – także w Polsce Ludowej w kółko dyskutowano o wzorcowym modelu uprawiania kultury fizycznej i wciąż były kłopoty z jego sformułowaniem. Najbliżej idealnego wzorca były chyba działające na wsiach i w małych miasteczkach Ludowe Zespoły Sportowe, którym udawało się łączyć kulturę fizyczną z wyczynem na wysokim poziomie (a także z kulturą, którą krzewiono w klubokawiarniach i podczas dyskotek w remizach strażackich).

Mali wyczynowcy i kuternogi

Jak wykazują badania, mamy dziś chromą młodzież. Ze sportem wyczynowym także jest coraz gorzej, choć przestrzegałbym przed bezpośrednim łączeniem tych dwóch zjawisk. Za moich młodych lat wyczynowo sport zaczynało się uprawiać mniej więcej dopiero w siódmej klasie, niektóre dyscypliny dopiero w wieku 16, albo nawet 18 lat. Kluby robiły sprawdziany i wybierały najzdolniejszych kandydatów. Dziś do wyczynu rodzice przyprowadzają pociechy, które dopiero co nauczyły się chodzić i płacą – czasem grube pieniądze – za ich szkolenie.

Każdy chce dobrej przyszłości dla swoich dzieci. Jedni posyłają je na studia, innym marzy się dla nich przyszłość zawodowego sportowca. W efekcie nasze społeczeństwo się amerykanizuje. Tam na jednym biegunie są utuczone hamburgerami grubasy, a na drugim – wybitni sportowcy. U nas mamy oderwane od gier komputerowych niedołęgi, niepotrafiące kozłować, i zawodowców, dobrych przynajmniej w kilku dyscyplinach.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 3.09.2025 r.

eprasa.pl 45ce44f7a0

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

– Mówcie więcej o tym z Konfederacji, co się zadał z dewiantem – mówi prezes Kaczyński i rechocze obleśnie. Jak to stary dziad…

– On to Dawid Szóstak, a ona Michalina Manios – usłużnie podpowiada poseł Fogiel, który w PiS-ie wszystko o wszystkich wie.

– Dawid, co? – nadal rechocze prezes. – To taki góral z góry Synaj, he, he…

– Albo ze Wzgórz Golan – dodaje rzecznik PiS-u Bochenek, który również krztusi się niezdrowym śmiechem.

– A ona to on – ciągnie Kaczyński. – Kiedyś była Jasiem, a teraz jest Zosią, he, he, he.

– Albo Michasią – mówi Bochenek i w charakterystyczny sposób układa palce obu dłoni.

– Mówcie o nich więcej, żeby naród wiedział, jaki element wywodzi się z Konfederacji – żąda prezes. – My jesteśmy zdrową tkanką, a Konfederacja to zboczeńcy.

– Nie do końca… – ostrożnie odzywa się pisowski europoseł Müller.

Bochenek i Fogiel milkną, Kaczyński ze zdziwienia stawia oczy w słup.

– Co? – pyta.

– To jest całkiem naturalne, że chłopak zakochał się w dziewczynie, która kiedyś była chłopakiem – mówi Müller coraz odważniej. – Chłopak może się zakochać w dziewczynie, w chłopaku, w chłopaku, który był dziewczyną, lub w dziewczynie, która była chłopakiem. Nie ma w tym nic niezwykłego.

Kaczyński ma minę człowieka, który właśnie się dowiedział, że Nawrocki jest owadem z Marsa, a Duda wykluł się z jaskółczego jaja.

– Co ty gadasz, Piotrek? – jąka się Fogiel. – Normalny związek składa się z mężczyzny i kobiety.

– Ewentualnie z kobiety i mężczyzny. – Bochenek również się jąka, trzęsąc się ze strachu, bo przewiduje, że zaraz wybuchnie kosmiczna awantura.

– Na świecie normalne jest wszystko, co nie krzywdzi bliźniego – odważnie twierdzi europoseł. – A z tego, co wiem, związek Dawida z Michaliną nikogo nie krzywdzi.

– Mnie krzywdzi – zimno mówi prezes. – Tak samo jak krzywdzi mnie to, że wysłaliśmy cię do europarlamentu, gówniarzu!

– Nikt mnie nie wysłał, ludzie mnie wybrali – odszczekuje się Müller.

– Następnym razem już nikt cię nie wybierze – decyduje Kaczyński, wciąż kręcąc głową, że Nawrocki ma chitynowy pancerzyk, a Duda stroszy białe pióra.

• • •

Nazajutrz prezes Kaczyński znów się śmieje.

– Napiszcie komunikat – mówi – że eurodeputowany Müller przeszedł załamanie nerwowe, w związku z czym znajduje się w szpitalu. I, na Boga, mówcie więcej o zwyrodnialcach z Konfederacji.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

JOANNA SENYSZYN gwiazdorzy u Wojewódzkiego. **AGNIESZKĘ WOŁK-ŁANIEWSKĄ** przestali zapraszać nawet do TVP po angielsku.



Senyszyn: – A dlaczego przestali?

Wołk-Łaniewska: – Raczej mnie dziwiło, że w ogóle zapraszali, zawsze mówiłam coś niecenzuralnego.

– Na przykład?

– Że Rosja nas nie napadnie. Albo że wcale nie jestem dumna z 5 proc. PKB na zbrojenia. Albo że Izrael uprawia w Gazie ludobójstwo. Nie dziwota, że nikt nie chciał mnie słuchać. Ciebie za to – cała sala. Chyba pierwszy raz w całości obejrzałam program Wojewódzkiego.

– I jak ci się podobało?

– Fenomenalnie. Bez kadzenia…

– Ależ proszę, kadź.

– Z kadzeniem czy bez: wyszłaś świetnie. Z luzem i tą nutą bezczelności, która sprawia, że ty to ty. I oczywiście w pełni się zgadzam ze wszystkim, co mówiłaś. Zwłaszcza z tym, że małżeństwo ma sens dopiero na starość, żeby podatku spadkowego nie płacić. Jakby mi się trafił jakiś bogaty i stary, zaraz się za niego wydam.

– Nie chcę cię martwić, ale ty już też taka młoda nie jesteś…

– No i właśnie dlatego mój ewentualny mąż musi być naprawdę stary. Bo inaczej nie zdążę się nacieszyć tym spadkiem… Acz boję się, że ten statek już odpłynął. Trzeba się było zakręcić przy jakimś nowobogackim budowniczym kapitalizmu, jak miałam 21 lat. À propos 21 lat: przyznaj szczerze: wiedziałaś, kim jest Bambi, zanim ci się rzuciła na szyję? Bo ja nie. Tu wyjaśnijmy Czytelnikom, którzy nie widzieli cię u Wojewódzkiego: to wokalistka, która urodziła się wtedy, kiedy Donald Tusk został przewodniczącym Platformy Obywatelskiej…

– Skąd to wiesz?

– Bo sprawdziłam w Wikipedii, co ważnego wydarzyło się w roku 2003. Wracając do Bambi: oczarował mnie wers z jej pieśni: „Ty dalej pierdolisz, ja nie panimaju". Jakże miło wiedzieć, że młodzież okazuje się odporna na natrętnie szerzoną w Polsce rusofobię. A skoro już się zgadało o rusofobach: absolutnie rozczulił mnie minister Sikorski na improwizowanej konferencji prasowej w Miami.

– A co mówił?

– Nieważne, co mówił, ważne gdzie. Otóż stał w holu hotelu, który toczka w toczkę przypominał mój ukochany National w Hawanie. Takie same kolumny, taki sam wystrój, ta sama mafia budowała… Tym, którzy nie mieli szczęścia być w Nationalu, przybliżę: to ten hotel, który Hyman Roth przeznacza dla Lakeville Road Boys, czyli syndykatu Forlenza z Cleveland…

– Rozumiem, że cytujesz „Ojca chrzestnego"?

– Zawsze. Jestem fanatyczką. Zwłaszcza drugiej części, która bezbłędnie przedstawia sytuację w Hawanie przed zwycięstwem rewolucji. Łącznie ze złotym telefonem, który Batiście wręczył amerykański ambasador Arthur Gardner w imieniu AT&T, w ramach wyrazu wdzięczności za deregulację cen połączeń na Kubie. À propos: widziałaś prezent Apple'a dla Trumpa?

– Złoty iPhone?

– Prawie. Otóż prezes Apple'a, Tim Cook, wręczył prezydentowi USA okrągłe szkiełko z wydzierganym laserowo jabłuszkiem i nazwiskami ich obu, obsadzone w stópce z 24-karatowego złota. Co zdaje się niewielką ceną za wyłączenie Apple'a ze stuprocentowych ceł na mikroczipy, które – jak Cook sam przyznał – kosztowałyby firmę 900 mln dolków.

– W tym kontekście złota stopa zdaje się racjonalnym wydatkiem…

– Prezes AT&T to samo myślał o złotym telefonie… Ale w temacie prezesów: słyszałaś o aferze z „Polish CEO"?

– Jakiej aferze?

– Wystarczy, że wpiszesz w Google „Polish CEO" i ci się wyświetli. Otóż polski tenisista nazwiskiem Kamil Majchrzak – nic mi to nie mówi oczywiście…

– Podobnie jak Bambi. W ogóle jesteś nie na czasie. Podciągnij się. Wracając do afery z prezesami, internet obecnie wyświetla dwie. Szwajcarski prezes miał romans z podwładną i wyleciał z roboty w trymiga. Polski udawał głupiego, że niby nic się nie stało, choć przecież wyrwał dziecku czapeczkę ofiarowaną przez Majchrzaka, po zwycięskim meczu w US Open. Ale widzę, że dopiero ta afera skłoniła cię do zainteresowania tenisem.

– Tenis mnie nudzi, więc gówno o nim wiem. Ale za to wiem, kim jest Michał Szubarczyk…

– Kim?

– Polskim snookerzystą, który przeszedł na zawodowstwo w wieku 14 lat, co czyni go najmłodszym snookerowym zawodowcem w historii. Nawet Ronnie doczekał do 17.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

– Z kolei ja, gdyby nie przyjaźń z tobą, nie wiedziałabym, kto to Ronnie… Wracając do afery z czapeczką – jakoś nie bardzo wierzę, że tak się przejęłaś krzywdą okradzionego dziecka…

– Ja nie, ale cały internet się przejął, bo ktoś to nagrał i filmik stał się wiralem. BBC to pokazało, i CNN, i w ogóle cały świat zobaczył, że ów czapkowy złoczyńca to niejaki Piotr Szczerek, właściciel firmy o wyrafinowanej nazwie „Drog-Bruk". W dodatku powiesił w necie takie oświadczenie: „Tak, wziąłem czapkę. Tak, byłem szybki. Ale jak zawsze mówię, w życiu obowiązuje zasada: kto pierwszy przychodzi, jest pierwszy obsłużony". Teraz biedaka zalała fala hejtu i jego bruk też, więc tłumaczy, że w emocjach popełnił błąd, a w ogóle to żadnego oświadczenia nie pisał. A ja myślę, że właśnie pisał, bo to jest dokładnie to, co robi z ludźmi kapitalizm.

– I tu masz rację, choć cwaniactwo i złodziejstwo były i są we wszystkich systemach społeczno-gospodarczych. To cecha homo sapiens, na szczęście nie wszystkich.

– Niektórych bardziej niż innych. Według psychiatrów liczba psychopatów wśród posiadaczy tytułu Chief Executive Officer jest od 4 do 12 proc. wyższa niż w ogólnej populacji, gdzie oscyluje wokół 1 proc. A ostatnie badania wskazują, że nawet jeden na pięciu prezesów wielkich firm wykazuje cechy psychopatyczne. Nie mówię naturalnie o prezesie Szczerku, o którym nic nie wiem – poza tym, że zaiwanił gówniarzowi kaszkiet i jeszcze się tym napawał; to ogólne dane dotyczące wyższej kadry kierowniczej.

– Wracając zatem do prezesa Szczerka: teraz się kaja i przeprasza, bo zaczęły mu spadać obroty firmy. Ale warto dodać, że najbardziej przejął się nasz tenisista. Odnalazł chłopca i dał mu kilka pamiątek.

– Toć przyznałam uczciwie, że bachor mnie nie obchodzi, tylko okazja do darcia łacha z kapitalisty…

– À propos kapitalizmu: byłam na Forum Ekonomicznym w Karpaczu. Ponad 7 tys. uczestników, ale nikogo z wierchuszki PO, bo ponoć bojkotują. Brałam udział w panelu o sprawiedliwych podatkach. Prof. Modzelewski powiedział, że w Polsce prawo podatkowe w zasadzie piszą tajni lobbyści, co by wyjaśniało, dlaczego jest tak niekorzystne dla zwykłych ludzi, a dobre dla wielkich zagranicznych firm. Wyobraź sobie, że w Polsce w porównaniu z UE ciężar podatków jest przesunięty z kapitału na pracę i konsumpcję, co pogłębia społeczne nierówności.

– Wyobraź sobie, że sobie wyobrażam.

– Ty może tak, boś lewaczka, ale wielu ludzi tego nie wie. Toteż, korzystając z okazji, krótki wykład o podatkach sprawiedliwych i niesprawiedliwych.

– Ależ pani profesor, bardzo proszę.

– Sprawiedliwe jest progresywne opodatkowanie dochodu, a także majątku; progresja zapewnia redystrybucję i wyrównuje szanse. Słuszne są wysokie podatki spadkowe od dużych fortun – ograniczają dziedziczoną nierówność i koncentrację kapitału. Zasadne są podatki od zysków kapitałowych i korporacyjnych; zwłaszcza w stosunku do wielkich korporacji i międzynarodowych koncernów, co przyczynia się do równych warunków konkurencji. I wreszcie dobrze jest opodatkować takie szkodnictwo jak emisja CO_2, zanieczyszczenie środowiska, nadmierna konsumpcja plastiku czy paliw kopalnych. Natomiast niesprawiedliwy jest system, który – jak polski – opiera się głównie na podatkach pośrednich, takich jak VAT czy akcyza, które są w istocie rzeczy regresywne.

– I widzisz? Znów się z tobą zgadzam, choć jestem prostym lewakiem, a nie profesorzycą ekonomii.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 45ce44f7a0